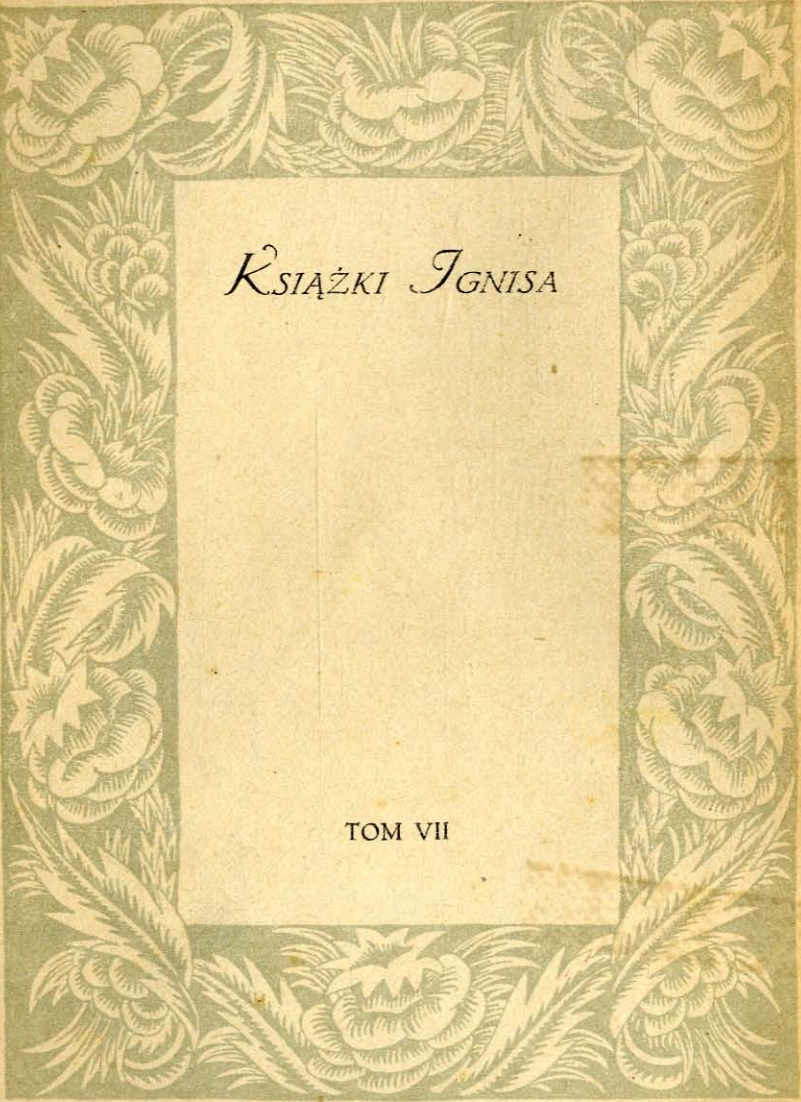


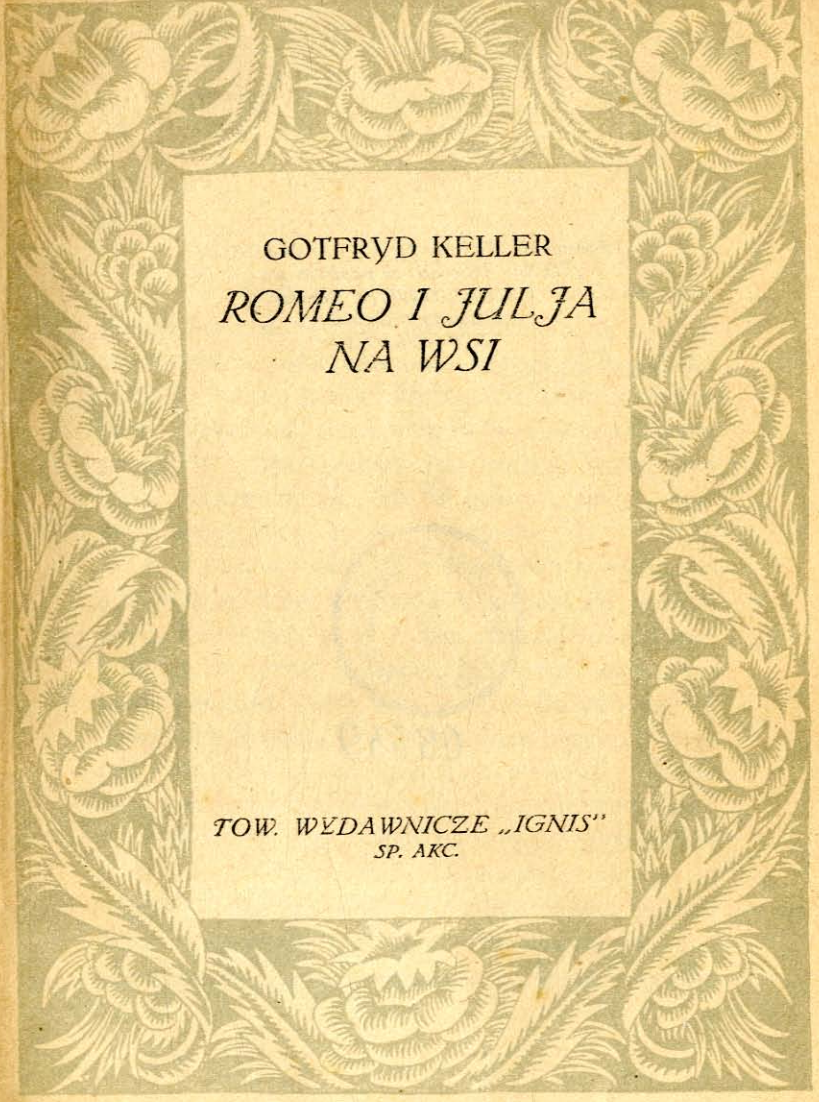
KSIAŻKI IGNISA
Tom VII



A decorative border in a muted green color, featuring a repeating pattern of stylized roses and leaves. The border frames a central white rectangular area.

KSIĄŻKI IGNISA

TOM VII

A decorative border in a muted green color, featuring a repeating pattern of stylized roses and leaves. The border frames a central white rectangular area.

GOTFRYD KELLER
ROMEO I JULJA
NA WSI

TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”
SP. AKC.

Tłumaczyli STEFAN TRYCZ i ALFRED TOM

*Odbito 4200 egz. na papierze zwy-
czajnym i 15 egz. na papierze
czerpanym w Zakł. Graf.*

*B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie
1923*

№ 1993



68339

Opowiadanie tej historii byłoby próżnym naśladownictwem, gdyby nie zasadzała się ona na rzeczywistem zdarzeniu — w dowód, jak głęboko w życiu ludzkim tkwi korzeniami każda z owych fabuł, na których zbudowane są wielkie stare twory poetyckie. Baśni takich jest niezbyt wiele, zato wciąż pojawiają się one w nowej szacie i zmuszają wtedy dłoń, by je zatrzymała.

Nad piękną rzeką, która przepływa w odległości pół godziny drogi od Seldwili, wznosi się wydłużony, falisty pas ziemi i, sam starannie obrobiony, gubi się w żyznej równinie. Na końcu jego, u samego podnóża, leży wieś z kilku dużych zagród chłopskich złożona, — a po łagodnem wzgórzu ciągnęły się wdał przed laty trzy wspaniałe długie łany, jak trzy olbrzymie wstęgi, jedna obok drugiej.

Raz, w słoneczny poranek wrześnieowy, na dwóch z tych łąnów orali dwaj chłopci, mianowicie — na dwóch skrajnych, środkowy leżał, widać, już od wielu lat ugorem i w stanie zapuszczonym, pokrywały go bowiem kamienie i chwast wysoko

wyrosły, a całe roje skrzydlatych stworzonek nad nim brzęczały swobodnie. Chłopi zaś owi, którzy szli po obu stronach, każdy za swym pługiem, były to dwie rosłe, kościste postaci blisko czterdziestki, i z pierwszego zaraz wejrzenia mogłeś poznać, że to pewni siebie, dobrze zaopatrzeni gospodarze. Mieli na sobie krótkie do kolan spodnie z mocnego drelichu, na których każda fałda zajmowała swe niezmiennie miejsce i wyglądała, jakby w kamieniu wykuta. Gdy trafiwszy na przeszkodę, silniej za pług chwytały, od lekkiego zatrząśnięcia drżały rękawy grubych koszul, a tymczasem starannie wygolone oblicza spokojnie i bacznie, ale z lekko zmrużonemi od blasku słońca oczami, przed się patrzyły, mierząc brózdę, lub też chwilami obzierając się za siebie, gdy zdała szmer jakiś ciszę wiejską przerywał. Powoli, z niejaką naturalną elegancją, stąpali naprzód, stawiając nogę za nogą, a żaden nie przemówił ani słowa, chyba że parobkowi, który poganiał okazałe konie, dawał jakąś wskazówkę. Tak z oddalenia byli całkiem do siebie podobni, bo przedstawiali pierwotny typ tej okolicy, i możnaby ich na pierwszy rzut oka po tem chyba rozróżnić, że u jednego czub białej czapki zwisał ku przodowi, drugiemu zaś wtył na kark opadał. Ale to zmieniało się u nich kolejno, jako że orali w kierunkach przeciwnych,

gdy bowiem spotykali się tam na górze i mijali, to temu, co szedł przeciw rzeżkiemu wiatrowi od wschodu, czapka czubata wywracała się wtył, a tymczasem u drugiego, który miał wiatr za plecami, jeżyła się ku przodowi. Był też za każdym razem moment pośredni, kiedy połyskujące czapki chwiały się, nastroszone prosto, i sterczały ku niebu, jak dwa białe języki płomieniste. Tak to orali obaj z całym spokojem, i miło było patrzeć na nich, jak w tym cichym złocistym krajobrazie wrześnieowym przechodzili jeden obok drugiego w milczeniu i powoli, i stopniowo oddalali się wzajem, rozchodząc się coraz bardziej, aż obaj, jak dwa zachodzące gwiazdozbiory, schodzili za pochyłość pagórka i znikali, by po dłuższej chwili znowuż się na nim pojawić. Ilekroć znajdowali w brózdzie kamień, odrzucali go z niedbałym rozmachem na dziki łąn środkowy, co wszelako rzadko się zdarzało, gdyż łąn ów był zawalony już niemal wszystkimi kamieniami, jakie kiedykolwiek na łąnach sąsiednich znaleźć się dało.

Tak tedy upłynął już w części długi ranek, gdy ode wsi zbliżył się mały zgrabny wózek, — ledwie widzialny, kiedy począł wjeżdżać na łagodną pochyłość pagórka. Był to zielono pomalowany dziecinny wózeczek, w którym dziatki obu oraczy, chłopczyk i małe dziewczątko, społem wio-

zły przedobiedni posiłek. Dla każdego gazdy zosobna leżała tam bułka pięknego chleba, zawinięta w serwetę, dzban wina ze szklankami i jeszcze jakiś tam przydatek na wózku, który czuła gazdzina dla pilnego swojego chłopca przesyłała, a prócz tego były tam jeszcze zapakowane wszelakie osobliwego kształtu nadgryzione jabłka i gruszki, co je dzieci uzbierały po drodze, oraz zupełnie golumienka lalka o jednej tylko nodze i zamorusanej twarzy, a siedziała ci ona między chlebami, niby jasna panienka, wygodnie wieść się pozwalając. Pojazd ten, po niejednym utknięciu o zawadę i postojach, zatrzymał się wreszcie na wzgórzu, w cieniu chaszczki lipowych, tam u skraju pola, i teraz oto można było przyjrzeć się bliżej obojgu małym woźnicom. Był to chłopak siedmioletni i dziewczuszka około lat pięciu, oboje zdrowi i żwawi, więcej zaś nic w nich nie było osobliwego, prócz tego tylko, że i on i ona mieli bardzo ładne oczy, a dziewczynka przytem jeszcze śniadą cerę i mocno kędzierzawe ciemne włosy, co nadawało jej twarzy wyraz ognisty i szczególnie serdeczny. Oracze tymczasem znaleźli się obaj znowuż na górze, zatknęli szkapom nieco koniczyny i zostawili pługi w napół dopiero rozoranej bródzcie, zaczęli, jako dobrzy sąsiedzi, udali się na wspólny posiłek, teraz dopiero się witając,

aż dotąd bowiem dnia tego jeszcze do siebie nie przemówili.

A gdy tak ojcowie z lubością spożywali śniadanie i z serdecznym zadowoleniem dawali coś niecoś dzieciom, które nie odstępowały ich, dopóki się jadło i piło, — wzrok gospodarzy błędził to bliżej, to znów dalej, aż oczy ich spoczęły na miasteczku, błyszczącym się w tumanie dymów, wśród okalających je gór; bo sute obiadki, jakie seldwilanie przyrządzali sobie dnia każdego, wzbijały zwykle ponad dachy widny zdaleka obfok srebrzysty, który ze śmiechem niejako mimo ich gór przepływał.

«Te juchy w Seldwili znów se zdrowo warzą!» rzekł Manc, jeden z gazdów, drugi zaś, Marti, odrzekł: «Wczoraj był ci jeden u mnie wedle tego tu łanu». «Z Rady Okręgowej? Był on i u mnie!» rzekł Manc. «Tak? A pewnikiem i tobie też mówił, żebyś ziemi używał, a panom tym czynsz płacił?» «Tak, póki nie będzie wiadomo, komu właściwie grunt się należy i co z nim ma być. Ale ja ta podziękowałem pięknie, żebym miał zaś obrabiać taki zadziczały ugór dla innego, i powiedziałem, niech se tam łan przedadzą, a gotówkę schowają, aż znajdzie się właściciel, a to chyba nigdy się nie stanie; co raz legnie u nich w kancelarji w Seldwili, może się tam dłużej wczają»

sować, a do tego — i sprawa to, psia krew, sękowata. Ale tym łapigroszom chciałoby się okrutnie, żeby im tymczasem cosik kapnęło — niby ten czynsz dzierżawny, co juźci dałoby się zrobić i z sumą sprzedażną, ale niedoczekanie ich, żebyśmy ją zanadto wyśrubowali, — a wtedy juźci = byśmy wiedzieli, co mamy i czyj grunt!» «I ja tak myślę, i dałem temu drapichróstowi taką odpowiedź!»

Zamilkli na chwilę, poczem Manc zaczął znowu: «A taki szkoda przecie, że dobry grunt tak to marnieć musi, aż serce boli patrzeć, ciągnie się to już bezmała lat dwadzieścia, a żywa dusza nie troszczy się o to, bo tu we wsi niemasz nikogo, ktoby se rościł prawo do tego poletka, i nikt też nie wie, gdzie się podziały dzieciska tego zatraconego trębacza».

«Hm!» rzekł Marti, «no tak, takie to buty! Ile razy widzę tego czarnego grajka, co to go raz z włóczęgami spotykasz, co to inszym razem po wsiach do tańca na skrzypkach przygrywa, mógłbym na to przysiąc, że to wnuk trębaczowy, tylko juźci on nie wie, że ma jeszcze szmat pola. Ale coby taki z tem począł? Przez miesiąc zapijałby się na umór, a potem — jak pierwej. A zresztą, ktoby też napomykał o tem, kiedy się przecie nie ma pewności żadnej!»

«A toć=by się narobiło bigosu nielada!» odparł Manc, «i tak mamy dość kłopotu, żeby odmówić temu grajkowi przynależności do naszej gminy, bo wciąż chcą nam rzucić na kark tego oberwańca. Skoro rodzice jego raz zeszli na bezdomnych, niechby tam i został i rznął se na skrzypeczkach baniakarzom. Jakoż, do djabła, możemy wiedzieć, że to syn trębaczowego syna? Co do mnie, to chocia w tej ciemnej gębie niby poznaję starego, przecie powiadam: mylić się to rzecz ludzka, a najmniejszy, choć i potargany, świstek papieru, jakieś kawałtko metryki, lepiejby uspokoiło moje sumienie, niż dziesięć takich grzesznych pysków!»

«Ano, juźci!» rzekł Marti, «on wprawdzie powiada, co nie winien temu, że go nie ochrzczono! Ale czy my naszą chrzcielnicę mamy zrobić do przenoszenia i obnosić ją po lasach? Nie, stoi=ci ona mocno w kościele, a zato dadzą się prznosić mary, co to wiszą na murze przed kościołem. U nas na wsi i tak luda już za wiele, i rychło trzeba nam będzie aż dwóch nauczycielów!»

Na tem się jedzenie i gawęda między dwoma chłopami skończyły, i podnieśli się, aby dokonać reszty swej przedobiedniej pracy na dzisiaj. Natomiast dzieci, ułożywszy już sobie wpierw, że z ojcami pociągną do domu, zawlokły wózeczek

pod ochronę młodych lip i udały się na obławę po dzikim ugorzysku, które ze swemi chwastami, krzakami i kupami kamieni przedstawiało zgoła niezwykle, osobliwe pustkowie. Powalęsawszy się przez czas jakiś wpośród tej zielonej dzicy, rączka w rączce, i zabawiwszy się wymachiwaniem splecionemi dłońmi ponad wysokimi badyłami, siedli sobie wkońcu w cieniu krzewu ostów, a dziewczynka zaczęła przystrajać lalkę długimi liśćmi babkowego zieleń, tak iż ta dostała ładną zieloną, w ząbki wycinaną spódniczkę; jedyny, samotny czerwony kwiat maku, jaki tam jeszcze kwitnął, naciągnęła jej na głowę jako czepek i podwiązała mocną trawką, i oto drobna osóbką wyglądała niczem wieszczka z bajki, zwłaszcza gdy otrzymała jeszcze naszyjnik i pasek z kraśnych jagódek. Zaczem dzieci usadowiły lalkę na wysokiej łodydze ostu i wraz oboje wpatrzyły się w nią zachwycone, aż po chwili chłopiec, dość się już napatrzywszy, zrzucił ją kamieniem. Wskutek tego przystrój lalki znieładził się, a dziewczynka rozebrała ją śpiesznie, by wystroić nowo; ale gdy lalka była znowuż naga i bosa, a miała na głowie jeszcze tylko czerwony czepek, chłopak dziki wyrwał małej towarzysze zabawkę i zrzucił wysoko w powietrze. Dziewczynka skoczyła za nią z krzykiem żalnym, lecz

chłopiec pierwszy pochwycił lalkę znowu i podrzucił po raz drugi, a gdy dziewczynka daremnie usiłowała mu ją wyrwać z rąk, drażnił się z nią przez długą chwilę. Ale w jego rękach latająca lalka doznała uszkodzenia, mianowicie — w kolanie jedynej swej nogi, kędy przez małą dziurkę sypać się zaczęły otręby. Zaledwie dręczyciel zobaczył ten otwór, nagle przycichł i z rozdziawionemi ustami trudził się gorliwie, by paznogciami powiększyć jeszcze dziurę i wysledzić, skąd się wzięły te otręby. Milczenie jego wydało się biednemu dziewczątku wielce podejrzanę, więc przysunawszy się jak najbliżej, ujrzała z przerażeniem, co tu nabroił okropnego. «Patrz=no», zawołał, wywijając nóżką lalki przed samym jej nosem, że otręby twarz jej ob-sypały; a kiedy ona wyciągnęła po nią rączkę z krzykiem i błaganiem, odskoczył znowu na bok i nie uspokoił się póty, aż cała nóżka lalki, sucha i pusta, zwisała, jak zewłok żalony. Wtedy rzucił precz zmiętoszoną zabawkę i zachowywał się w najwyższym stopniu zuchwale i obojętnie, gdy miała z płaczem rzuciła się na lalkę, otulając ją swym fartuszkem. Wszelako znowu ją wydobyła i z żałością serdeczną biedacze się przypatrywała, a gdy obaczyła nieszczęsną nogę, wybuchła znowuż głośnym płaczem, albowiem noga ta zwisała u ka-

dłuba, zupełnie jak ogoneczek jaszczurki. Ten tak niewstrzymany płacz dziewczynki zaniepokoił wkońcu sumienie złoczyńcy, tak iż z lękiem i skruczą stał przed biadającą, a ona, widząc to, przestała nagle zawodzić i uderzyła go kilkakroć łalką, on zaś udawał, że go to boli, i krzyczał nawet: «Ojoj!» a tak prawdziwie, że ją to zadowoliło zupełnie, i oto zabrali się społem do dalszego niszczenia i rozczłonkowania łalki. Wiercili dziurkę po dziurce w dręczonem ciele, przyczem ze wszystkich końców wysypywali otręby, które, skrzętnie na płaskim kamieniu do kupki zebrawszy, po starannem wymieszaniu, oglądali teraz badałczo. Jedyną częścią nienaruszoną, jaka w łalce jeszcze pozostała, — była głowa, która musiała przedewszystkiem przyciągnąć uwagę dzieci, oddzieliły ją troskliwie od wypaproszonego kadłuba i, zdumione, zajrzały do pustego wnętrza. Gdy zobaczyły to dziwne jakieś wydrążenie, a także i na te otręby patrzyły, pierwszym i naturalnym pomysłem ich było napełnić głowę otrębami, a tak oto paluszki dzieci zaprzątnęło wpychanie na wysćigi otrąb do pustej głowy, tak iż po raz pierwszy w jej życiu — coś przecie w niej tkwiło. Ale chłopiec snadź uważał, że to przecie wciąż jeszcze tylko martwa wiedza, bo nagle schwycił wielką niebieską muchę i, brzęczącą między wklęsłemi

dłońmi trzymając, kazał dziewczynce wysypać z głowy otręby. Zaczem wpakowano muchę do wnętrza i otwór szczelnie trawą zapchano. Dzieci przytknęły głowę łalki do uszu, a następnie postawiły ją uroczyście na kamieniu, nakryta jeszcze czerwonym kwiatem maku i dźwięcząca, podobna była do głowy, która oto wieszczy, — dzieci zaś, objąwszy się rączkami, w głębokiem milczeniu zasłuchały się w jej dziwne wieści i baśnie. Lecz znana to rzecz, że prorok budzi przerażenie i niewdzięczność: ździebełko życia w skleconym od biedy tworze wznieciło w dzieciach zwykłe ludzkie okrucieństwo, więc też postanowiły głowę pogrześć. Tedy, nie pytając uwięzionej muchy o zdanie, wykopały grób i złożyły tam głowę łalki, a nad mogiłą wzniosły okazały pomnik z kamieni, zebranych na polu. Teraz jednak uczuły jakąś grozę, że zakopały coś, co miało kształt i życie, to też oddały się spory kawałek od tego niesamowitego miejsca. Na polance, zarośniętej gęsto zielskiem, dziewczuszka położyła się nawznak, jako że była zmęczona, i jednostajnie poczęła wyśpiewywać słów kilka, wciąż te same, chłopak zaś przykucnął obok i wtórował jej, nie wiedząc, czyby też nie przewrócić się i wyciągnąć na trawie, bo tak jakoś ociężał, i nic mu się już robić nie chciało. Słońce świeciło śpiewającej dziew-

czynce wprost w rozwartą buzię, rzucając blask swój na oślepiająco białe ząbki i krasząc karmimnowe jej, krągłe usteczka. Chłopak ujrzał ząbki i podtrzymując głowę dziewczynce, a ząbki te ciekawie badając, zawołał: «Zgadnij, ile człowiek ma zębów?» Dziewczynka namyślała się przez chwilę, jakżeby dokładnie obliczała, i rzekła potem na chybi trafi: «Sto!» «Nie, trzydzieści dwa!» zawołał on, «czekaj, ja ci policzę!» Tedy liczył zęby dziewczynki, a że nie mógł się trzydziestu dwóch doliczyć, więc wciąż odnowa zaczynał. Dziewczątka długi czas zachowywało się spokojnie, ale gdy gorliwy liczbierz nie mógł dojść końca, zerwawszy się, zawołała: «A teraz ja twoje policzę!» Więc chłopak położył się na trawie, a dziewczynka nad nim, objąwszy jego głowę, gdy on rozdziawił gębę, poczęła liczyć: «Raz, dwa, siedem, pięć, dwa, jeden», albowiem mała ta piękność nie umiała jeszcze rachować. Chłopiec poprawiał ją i dawał wskazówki, jak liczyć należy, a tak tedy i ona rozpoczynała niezliczoną ilość razy odnowa, a zabawa ta podobała im się snadź najbardziej ze wszystkiego, co w dniu dzisiejszym przedsiębrali. Lecz wkońcu dziewczynka osunęła się całkiem na małego rachmistrza, i oboje zasnęli w jasnym słońcu południa.

Tymczasem ojcowie zorali doreszty swoje pola,

zamieniając je w pachnące świeżo powierzchnie brunatne. Gdy po uporaniu się z ostatnią skibą, parobek jednego z nich chciał zatrzymać konie, gazda jego zawołał: «Czego stajesz? Obróć jeszcze raz!» «Przecie my skończyli!» odrzekł parobek. «Stul pysk i rób, co ci każe!» gospodarz na to. Zawrócili tedy i w leżący pośrodku bezpański łan worali się tęgą brózdą, aż zielsko i kamienie fruwały. Ale chłop nie zaprzętał sobie głowy ich usuwaniem — myślał snadź, że czas jeszcze na to, i zadowolili się tem, żeby na dziś rzecz jeno zgrubsza odrobić. Tak więc posuwali się szybko w górę po łagodnym łuku, a gdy dotarli do wierzchołka, i luby wiaterek odrzucił chłopu w tył czub jego czapki, po przeciwnej stronie minął go orząc sąsiad z czubem, zwisającym ku przodowi, i takież odkroił swym pługiem nielada brózdę z środkowego łanu, że ino bryły ziemi na wsze strony leciały. Każdy dobrze widział, co robi drugi, ale udawał, że niby nie widzi, i znowuż nawzajem znikli sobie z oczu, gdy tak oto, jak dwa gwiazdozbiory, przeszli cicho mimo siebie, tonąc za skrajem tej krągłizny. Tak mijają się tkackie czółenka na warsztacie losu, «a co on przedzie, żaden tkacz nie wie».

*



Mijało żniwo za żniwem, a każde było świadkiem, jak dzieci rosły i piękniały, bepański zaś szmat gruntu zwęzał się coraz bardziej między rozszerzającymi się sąsiadami. Po każdej orce tracił on z tej i z tamtej strony po jednej bródzie, choć nie mówiło się o tem ani słowa i choć zdawało się, że oko ludzkie przestępstwa tego nie widzi. Kamienie, stłaczane w kupę wciąż większą, tworzyły już pokaźny grzbiet wzdłuż całego poletka, a dzikie na nim krzaki były tak wysokie, że dzieci, choć już podrosły, nie mogły widzieć się nawzajem, gdy jedno szło z tej, drugie zaś z tamtej strony. Albowiem nie chadzały już razem na pole, bo dziesięcioletni Salmon albo Sali, jak go zwano, trzymał się dziarsko już podrostków i dorosłych mężczyzn, a śniadolica Wrenka, acz była to ognista dziewczuszka, musiała przebywać pod opieką niewieścią, by nie śmiały się z niej inne, że lata za chłopcami. Wszelako w czasie każdego żniwa, gdy wszyscy wylegli na pole, korzystały dzieci ze sposobności, by wdrapywać się na dziki grzbiet z kamieni, który je dzielił, i z niego nawzajem się spychać. Chociaż, zresztą, nie przestawali już z sobą, to przecież oboje obchodzili tę doroczną ceremonję tem gorliwiej, ile że pola ich ojców nigdzie indziej się nie stykały.

Tymczasem jednak pole owo miało być na-

reszcie sprzedane, a kwota, którąby się stąd uzyskać dało, miała być złożona na przechowanie w urzędzie. Licytacja odbyła się we właściwym miejscu, gdzie jednakowoż stało się jeno kilku gapiów, prócz gospodarzy: Manca i Martiego, — nikt bowiem nie miał ochoty do kupna osobliwego kawałka gruntu, by go uprawiać między dwoma sąsiadami. Bo chociaż zaliczano ich we wsi do gospodarzy najlepszych, i choć nie popełnili nic takiego, czegoby się w tych okolicznościach nie dopuściły dwie trzecie pozostałych, to jednak milczkiem patrzono na nich teraz krzywo, i nikt nie chciał być wciśnięty między nich na tem okrojonym sierocem poletku. — Większość ludzi zdolna jest lub w tej chwili gotowa popełnić zło, wiszące niejako w powietrzu, gdy natkną się na nie nosem, ale jak tylko ktoś jeden popełni je, reszta się cieszy, że to przecież nie oni, że pokusa nie w nich trafiła, zaczem niegodziwość wybrańca czynią miernikiem własnych przymiotów ładajakich i obchodzą się z nim lęklawie i oględnie, jako z gromowodem nieszczęścia, przez bogów naznaczonym, — chociaż jednocześnie idzie im ślinka do ust na myśl o korzyściach, których przytem zażywa. — Manc i Marti byli tedy jedy- nymi, którzy serjo współubiegali się o pole, po dość uporczywem licytowaniu się, nabył je Manc, i zostało mu ono przybite. Urzędnicy i gapie

rozeszli się, zostali tylko obaj gospodarze, zaprzę-
tający się tam jeszcze na swych łanach, i odcho-
dząc spotkali się znowuż, a Marti rzekł: «Pewni-
kiem stary i nowy grunt zbijesz razem i podzie-
lisz na dwie równe połowy? Ja przynajmniej tak-
bym zrobił, gdybym ja pole dostał». «Jużci, ja
tak i zrobię», odpowiedział Manc, bo jako jeden
łan byłoby mi to za duże. Ale — co to rzecz
chciałem: zauważyłem, że ostatnio jeszcze na dol-
nym końcu tego poletka, które teraz jest moje,
worałeś się wpoprzek i odkroiłeś sobie spory
trójkąt. Myślałeś pewnie wtedy, że cały szmat
dla siebie nabędziesz i że tak czy tak będzie to
twoje. Że jednak oto on do mnie należy, to zgo-
dzisz się chyba, że ja takiego niecudnego pałaka
ni użyć nie będę mógł, ni ścierpieć, i nie sprze-
ciwisz się chyba, jeśli kresę znowu wyprostuję!
Wadzić się o to chyba nie będziemy!»

Marti odparł równie chłodno i spokojnie, jak
go tamtem zagabnął: «Ja też nie widzę, skądby
tu się miała wziąć jaka zwada! Widzi mi się,
żeś nabył pole, jakie jest teraz. Wszyscyśmy je
społem oglądali, a przez tę godzinę ani o włos
się nie zmieniło!»

«Terefer!» rzekł Manc, «co było pierwej,
o tem się teraz nie gada. Ale co za wiele, to
niezdrowo, jako mówią, a wszystko przecie

wkońcu musi być do czegoś podobne; te trzy
łany zdawien dawna leżały jeden przy drugim
tak równo, jakby wykreślone wedle sznura mier-
niczego, łebsko-kiepski to doprawdy pomysł z twej
strony, że chcesz wpakować między oba pola ta-
ki śmieszny i niedorzeczny zakrętas, i nam obu
dostałoby się niełada przezwisko, gdybyśmy tak
zostawili ten zakrzywiony czub. Musi z nim
precz!»

Marti zaśmiał się i rzekł: «A to cię nagle
wzięła dziwna obawa przed drwinami ludzkiem!
Ale to się jużci da uładzić, mnie tam ona krzy-
wizna nie wadzi, gniewa cię? — dobra, to zrobimy
na prost, jeno nie po mojej stronie — to ci dam
na piśmie, jeżeli wola!»

«Nie bądź=no taki mądrała», odparł Manc,
«jużci robi się prosto, ale po twojej stronie —
możesz się za to dać powiesić!»

«Ano, zobaczymy, kiej dożyjemy!» rzekł Mar-
ti, i oba chłopcy poszli każdy w swoją stronę,
nie obzierając się nawzajem; ale raczej wpatrzyli
się hen gdzieś w różnych kierunkach, jakby zo-
czyli tam Bóg wie jakie dziwa, którym przygła-
dać-by się musieli z napięciem wszystkich sił
ducha.

Już następnego dnia wysłał Manc parobka, wy-
robnicę oraz synka swego, Saliego, na pole, by

wyplewili chwasty i krzaczyska i złożyli je do kupy, aby następnie tem łatwiej można było wywieźć kamienie. Była to zmiana w dotychczasowym sposobie jego postępowania, że ledwo jedenastoletniego chłopaka, którego do żadnej jeszcze roboty nie używano, teraz oto wraz z innymi wysłał z domu, pomimo sprzeciwu ze strony matki. Zdawało się, ile że czynił to w słowach poważnych i namaszczonych, jakoby przez tę surowość, z jaką naganiał do pracy krew z krwi swojej, chciał zagłuszyć nieprawość, w jakiej żył, a która oto nie omieszkała już nieznacznie wyłaniać z siebie skutków. Wysłana gromadka pełła tymczasem wesoło zielska i siekła z zadowoleniem dziwaczne badyłe i różnorakie rośliny, które się tutaj od lat wielu beczelnie krzewiły. A że była to robota wyjątkowa, niejako dzika, przy której nie wymagało się żadnych reguł ani staranności, tedy uchodziła za uciechę.

Chwaściska, wysuszone w słońcu, zebrano na kupę i z gromkim okrzykiem triumfu spalono, aże dym daleko się rozchodził, a młodzi ludkowie skakali wśród niego wokół, jak opętani. Było to ostatnie święto radości na tem polu nieszczęścia, i młoda Wrenka, córka Martiego, wymknąwszy się chyłkiem z domu, także tu przyszła i dzielnie razem się krzątała. Niezwykłość te-

go zdarzenia i wesołe podniecenie dawały jej dobrą sposobność, by do swego małego towarzysza zabaw dziecięcych raz przecie znowu się zbliżyć; więc dzieci były iście szczęśliwe i żwawe przy swem ognisku. Przyłączyła się do nich jeszcze inna dziatwa i zebrała się cała ochocza kompanijka, lecz ilekroć ich rozłączono, Sali zaraz się starał dostać do Wrenki, a ta umiała również z uśmiechem zadowolenia precisnąć się ku niemu, i obu tym istotom tak było na duszy, jakżeby wspaniały ten dzień nie miał i nie mógł nigdy się skończyć. Ale pod wieczór nadszedł stary Manc, by zobaczyć, czego dokonano, a choć robotę już skończyli, przecież zgromił ich za tę pustotę, zaczęm spłoszona gromadka się rozpierzchnęła. Jednocześnie na piędzi własnej swej ziemi zjawił się Marti, a spostrzegłszy córkę, gwizdnął na nią przez palce tak ostro i nakazująco, że, przerażona, ku niemu pomknęła, on zaś, sam nie wiedząc dlaczego, uderzył ją raz — drugi w twarz, tedy oboje dzieci w wielkim smutku i z płaczem poszły do domu, a teraz tyleż właściwie wiedziały, dlaczego są tak smutne, jak pierwej — dlaczego były tak rozweselone; albowiem takiej ostrej szorstkości ojców, w rzeczy samej dość nowej, te istoty naiwne jeszcze nie pojęły, i nie mogła ona głębiej ich dotknąć.

Przez dni następne twardsza już była robota, do której męskich ramion trzeba było, gdy Manc kazał zebrać i wywieźć kamienie. Ciągnęło się to bez końca, i można było mniemać, że zgromadziły się tu razem wszystkie głązy i kamyki z całego świata. Ale nie kazał on całkiem precz z pola ich sprzątnąć, lecz polecił, by każdą furę zwalano na ów sporny trójkąt, który Marti pierwiej już starannie przeorał. Manc wytknął był pierwiej prostą bródzję, jako miedzę graniczną, a teraz obciążał oto ten skrawek ziemi wszystkimi kamieniami, jakie obaj gospodarze od niepamiętnych czasów z obu stron tu rzucali, tak iż powstał mocarny wzgórek, o usunięcie go — myślał sobie — chyba się przeciwnik nie pokusi. Dla Martiego było to największą niespodzianką; mniemał on bowiem, że tamten starym sposobem z pługiem weźmie się do dzieła, czekał więc, aż zobaczy go, jako oracza, ciągnącego na pole. Dopiero gdy rzecz była prawie już gotowa, usłyszał on o tym cudnym pomniku, jaki Manc tam wzniósł; wściekły wybiegł na pole, zobaczył ów podarek, pobiegł z powrotem i sprowadził urzędnika gminnego, by póki co wnieść protest przeciwko onej piramidzie z kamieni i ów skrawek sądownie aresztem obłożyć. Zaczem, od tego dnia, obaj chłopci ugrzęźli w procesie między sobą i nie spoczęli, aż obaj zrujnowali się do szczętu.

Myśli obu tych mężów, dotychczas tak rozsądnych, stały się oto, jakby je siekierą uciął; każdego z nich napełniało poczucie prawa najbardziej ograniczone, ile że żaden nie chciał ani też nie mógł pojąć, jako drugi z tak oczywistem bezprawiem i swawolą ten sporny nieznacznym skraj pola k sobie ciągnąć może. U Manca wystąpił przytem jeszcze przedziwny zmysł symetrii i linii równoległych; czuł on się więc doprawdy urażony tym manjackim uporem, z jakim Marti upierał się przy pozostawieniu tego zgoła niedorzecznego i psotnego zakrętasa. Obaj jednak schodzili się na punkcie przekonania, że skoro jeden drugiego tak bezczelnie i prostacko okpiwa, to go jużci za nędznego durnia mieć musi, gdyż na coś podobnego można sobie pozwolić względem jakiegoś tam chudziaka=przybłądy, ale nie względem męża mądrego, co stoi na pewnych nogach i obronić się potrafi, — więc każdy czuł się dotknięty w swym dziwacznym honorze i bez zastrzeżeń dawał się wciągnąć w spór namiętny oraz wynikającą stąd ruinę, zaczem dalsze ich życie stało się podobne do sennej męki dwóch potępieńców, którzy, po wąskiej kładce nad ciemnym strumieniem pędząc, nacierają na się, tną naoslep, siebie samych za kark chwytają i nicestwią w mniemaniu, że zdybali swe nieszczęście. Ponieważ sprawa ich była

nieczysta, tedy wpadli obaj w ręce najgorszych krętaczy i oszustów, którzy, znieprawioną ich wyobraźnię rozdymając do rozmiarów jakichś potwornych pęcherzy, napełniali ją ladajakiemi bredniami. Osobliwie zaś spekulanci z miasta Seldwili znaleźli w tym sporze dla siebie pożywę, tak iż rychło obaj pieniacle mieli przy sobie — każdy na swoją rękę — czeredę pośredników, donosicieli i doradców, którzy wszelką gotówkę umieli od nich tysiącznemi sposobami wyłudzić. Albowiem ów skrawek ziemi z kupą spiętrzonych kamieni, gdzie znowu porósł już las pokrzyw i ostów, był dopiero zarodkiem czy kamieniem węgielnym zawikłanej historii i nowego sposobu życia, w którym obaj pięćdziesięcioletnie chłopcy przyswoiły sobie obyczaje i nawyki, zasady i nadzieje odmienne od tych, jakie dotychczas praktykowali. Im więcej pieniędzy tracili, tem tęskniej pragnęli jakoweś osiąść, a im mniej posiadali, tem uporczywiej myśleli o tem, jakby się tu z bogacić i ubiec jeden drugiego. Dawali się wciągnąć do każdego szwindlu i z roku na rok trzymali na wszystkich obcych loterjach, których losy masami obiegały w Seldwili. Ale nigdy nie uświadczyli ani talara wygranej, jeno zawsze słyszeli o tem, że inni wygrywali i że maluczko — a oni sami też byłiby wygrali, tymczasem zaś namiętność ta powodowała stały u nich

odpływ pieniędzy. Czasem seldwilczycy robili sobie takie ot pożartki, że obu chłopom, bez ich wiedzy, w jednym losie udział dawali, tak iż każdy swą nadzieję na zgnębienie i zniszczenie przeciwnika w jednym i tym samym losie pokładał. Połowę czasu trawili w mieście, gdzie każdy w jakiejś speluncie miał swą główną kwatere, i gdzie obaj pozwalali sobie głowy kotłować i nakłaniać się do niedorzecznych wydatków oraz nieszczemnych i nieudolnych hulanek, przy których jednak skrycie serce im się krwawiło, tak iż obaj, co właściwie tylko tą waśnią żyli, aby ich za głupców nie miano, — akurat kpami ostatnimi się okazowali i za takich też każdy ich poczytywał. Przez resztę czasu markocili się, leżąc w domu, lub krzatali się około pracy, przyczem wtedy przez wściekle opętańczy pośpiech i napędzanie innych starali się powetować zaniedbanie, czem każdego porządnego i rzetelnego robotnika — odstraszało. Tedy wszystko dążyło gwałtem do ruiny, a nim dziesięć lat minęło, gruntownie obaj byli zadłużeni i jak bociany na jednej nodze stali na progu swych sadyb, skąd mógł ich zwiać najłżejszy podmuch. Ale im gorzej im się działo, tem silniejszą z dniem każdym stawała się wzajemna ich nienawiść, ponieważ każdy uważał drugiego za sprawcę swej niedoli, za swego odwiecznego wroga i zgoła nie-

dorzecznego przekorę, którego djabeł umyślnie po-
to na świat przysłał, żeby jego właśnie zniszczyć.
Każdy spluwał już zdaleka na sam widok drugie-
go, a nikomu z ich domowników nie wolno było
pod grozą najbardziej grubiańskiego znieważenia,
nawet słowa zamienić z żoną, dzieckiem lub cze-
ladzią drugiego.

W tem zubożeniu i pogorszeniu się całego
bytu — kobiety ich zachowywały się zgoła różnie.
Żona Martiego, dobra z natury, nie przeniosła
tego upadku, zagryzła się i umarła, nim córka jej
doszła lat czterem. Żona Manca natomiast
przystosowała się do zmienionych warunków, i aby
złą towarzyszką życia stać się w całej pełni, dość
było dla niej popuścić cugli niektórym narowom
białogłowskim, które tkwiły w niej zdawien da-
wna i wykształcić je na występki. Jej łasucho-
stwo przeszło w dziką chciwość, jej gadatliwość
stała się fałszywym z gruntu i kłamliwym pochle-
bianiem i oczernianiem, przez co w każdej chwili
mówiła coś wręcz przeciwnego, niż myślała, jed-
nych na drugich judziła i własnemu mężowi koł-
ki na głowie ciosała, jej pierwotna otwartość, dzie-
ki której dawniej — zażywała niewinnej pogawędki,
przeszła teraz w zatwardziały bezwstyd, z jakim
uprawiała ów fałsz, i tak oto zamiast być mężow-
ską ofiarą, za nos go wodziła, jeśli on srodze se

folgował, ona rozpuściła się jak dziadowski bicz
i, niczego sobie nie odmawiając, rozkwitła na gru-
basa-rządziochę w rozpadającym się domu.

Tak tedy niecudnie się działo biednym dzie-
ciom, które niczego dobrego dla siebie w przy-
szłości spodziewać się nie mogły, ani też nie za-
znały w swej młodości choćby tylko czegoś mi-
łego i radosnego, ponieważ wszędy otaczały je
same swary i troski. Wrenka była napozór w gor-
szem położeniu, niż Sali, ponieważ matka jej umar-
ła, ona zaś samiuteńka w opustoszałym domu by-
ła zdana na łaskę i niełaskę tyranji zdziczałego
ojca. Gdy liczyła lat szesnaście, była to już
smukła, pełna wdzięku dziewczeczka, jej włosy ciem-
nokasztanowate spadały ustawicznie w kędzio-
rach aż na ciemne błyszczące oczy, purpurowa
krew różowiła policzki śniadawego oblicza i lśniła
się ciemnym pensem na świeżych, jak rzadko,
wargach, co wyróżniało czarniawą dziewczynę
i nadawało jej osobliwszy wygląd. Ognista och-
czość życia i promiennosc drgały w każdym ner-
wie tej istoty, śmiała się i była skłonna do żartów
i zabawy, jeśli pogoda choć jako tako sprzyjała,
to znaczy — jeśli tylko nie była zbyt udręczona
i jeśli nadmiar trosk jej nie ciążył. Te zaś nęka-
ły ją często-gęsto, albowiem nie tylko wypadło
jej dźwigać kłopoty, strapienia i rosnącą nędzę do-

mową, ale musiała jeszcze i sama dbać o siebie i radaby była choć w części porządnie i schludnie się ubrać, na co ojciec wszelako złamanego szeląga dać jej nie chciał. Tedy miała Wrenka wielką biedę, by pełną wdzięku swą osóbkę jako tako wystafirować, by najskromniejszą sukienkę niedzielną sobie zdobyć i jakoweś pstre, prawie bezwartościowe, chusteczki na szyję ześcibolić. Przeto piękne, hoże dziewczę było pod każdym względem upokorzone i otamowane, a do zalotnego pawienia się zgoła niepochochne. Nadto, już przy budzącym się rozsądku, patrzyła na cierpienia i śmierć matki, a to wspomnienie było drugim hamulcem, nałożonym na jej podskoczną i ognistą naturę, tak iż przemiły i rozczulający był to jużci widok, gdy mimo wszystko dobre dziecko przy każdym słońca błysku duchem się krzepiło — do uśmiechu gotowe.

Życie Saliego było z pozoru nie tak twarde, ładny i silny młodzik, umiał-ci się on obronić, a już sama jego zewnętrzna postawa nie pozwałała na to, by się z nim źle obchodzono. Widział on jużci złą gospodarkę swych rodziców, a niemal że pamiętał, iż ongiś nie tak było; ba, w pamięci swej zachował on jeszcze dobrze dawny obraz ojca, jako solidnego, mądrego i spokojnego kmiecia, a był-ci to tenże człowiek, którego teraz

widział przed sobą, jako błazna, burdę i próżniaka, który sroząc się i przechwalając szumnie = butnie, po stu głupich i zdradliwych drogach chadzał i z każdą godziną, jak rak, wstecz żeglował. Otóż, jeśli mu się to i nie podobało, często go wstydem i frasunkiem napełniając, a przy braku doświadczenia pojąć jasno nie mógł, jak do tego doszło, — przecież troski jego głużyły znowuż pochlebstwa, z jakimi matka go traktowała. Albowiem, żeby w rozpuszczeniu swem być tem swobodniejszą oraz żeby mieć dobrego stronnika i swemu puzzeniu się dogodzić, dostarczała mu, czego pragnął, ubierała go czysto i fanfarońsko i wspierała we wszystkim, co gwoli przyjemności swej przedsiębrał. On zaś przystawał na to bez wielkiej wdzięczności, ponieważ matka zbyt wiele mu przytem plotła i łgała, a tak mało radości w takim życiu doznając, opieszale i niemyślący robił, co mu się podobało, w czem nie było zresztą nic złego, ponieważ, póki co, nie skaził go jeszcze przykład starych, a czuł młodzieńczą potrzebę, iżby we wszystkim okazać się prostym, spokojnym i od biedy dzielnym. Mniej więcej był on właśnie takim, jak ongiś w tym wieku jego ojciec, co temu nakazywało mimowolny szacunek dla syna, w którym — ze zmaconem sumieniem i udręką wspomnień — własną młodość szanował. Sali, mimo tej swobody, jakiej używał,

przecież z życia swego rad nie był, czując to dobrze, jako nie ma przed sobą żadnego celu właściwego i jako również niczego rzetelnego się nie uczy, — ponieważ o systematycznej i rozumnej pracy w domu Manca dawno mowy już nie było. Tedy najlepszą jego pociechą było czuć się dumnym ze swej niezależności oraz z tego, że się jest, póki co, nieskazitelnym, zaczem, w tej dumie pograżony, dniom płynąć hardzie pozwalał, oczy od przyśzości odwracając. Jedynym przymusem, któremu podlegał, był wrogi stosunek ojca do wszystkiego, co zwało się Martim i tego na pamięć przywodziło. Lecz nie wiedział on nic więcej nad to, że Marti jego ojca poszkodował i że dom onego jest takż wrogo usposobiony, tedy nie było mu trudno nie patrzeć ani na Martiego, ani na jego córkę, a ze swej strony grać rolę przyszłego, lecz dość łagodnego wroga. Wrenka natomiast, która więcej niż Sali znosić musiała i w domu bardziej była opuszczona, czuła się mniej usposobiona do formalnej wrogości i mniemała tylko, iż dobrze ubrany i pozornie szczęśliwy Sali i nią pogardza, przeto chowała się przed nim, oddalając się śpiesznie, gdy tylko zjawił się gdzieś wpobliżu, choć on nie zadawał sobie trudu, by obzierać się za nią. Stało się więc, że już od lat kilku dziewczyny zbliżka nie widział i nie miał pojęcia, jak

ona wygląda, odkąd wyrosła. A przecież zastanawiała go potężnie, i gdy o Martich wogóle była mowa, on mimowoli myślał jeno o córce, której obraz nie stał przed nim dość wyraźnie, a wspomnienie o niej nie było mu wcale nienawistne.

Wszelako ojciec jego, Manc, był oto z obu wrogów pierwszym, który nie mógł się dłużej utrzymać na gruncie — musiał wylecieć i z domu i z zagrody. To pierwszeństwo wynikło stąd, że miał on żonę, która mu do tego pomogła, oraz syna, który też niejedno spotrzebował, gdy tymczasem Marti był jedynym zjadaczem w swem zachwianem królestwie, córka zaś — owszem mogła pracować, jak bydłátko domowe, ale nic nie używać. Otóż Manc nie mógł się na nic innego zdobyć, jak za radą seldwilskich swych łaskawców wynieść się do miasta i tam wystąpić w roli oberżysty. — Widok to zawżdy żalosny, gdy były wieśniak, który w pracy na roli się zestarzał, z resztkami swego dobytku wynosi się do miasta tam otwiera szynkownię lub knajpę, by chwytając się niby ostatniej deski ratunku, robić z siebie przyjaznego i obrotnego gospodarza, choć mu zgoła nie radośnie na duszy. Gdy Mancowie wynosili się z zagrody, dopiero się widziało, jak ubodzy już byli, albowiem ładowali same stare i rozpadłe statki domowe, po których znać było, że od

wielu lat nic u nich nie odnawiano i nic też nie sprawiono. Niemniej jednak żona Manca, włożywszy na się, co miała najparadniejszego, usadowiła się na szczycie fury z gratami i robiąc minę pełną nadziei, jako przyszła mieszcza, z pogardą już patrzyła zgóry na brać wieśniaczą, co, pełna współczucia, z poza żywopłotów przyglądała się krytycznemu wyjazdowi. Trzeba bowiem wiedzieć, że zamierzyła ona swem uprzejmem i miłym obejściem oraz roztropnością całe miasto oczarować; czegoby zaś nie potrafił jej prostacki małżonek, tego ona już dokáže; skoro tylko jako pani oberżystka w okazałej gospodzie zasiądzie. Ale ta gospoda był to smętnie biedny szynczek narożny w odległej wąskiej uliczce, na tym szynczku właśnie poprzednik do cna niszczał, więc seldwianie wydzierżawili go Mancowi, ponieważ należało mu się jeszcze jakieś kilkaset talarów. Wraz z tem sprzedali mu kilka beczulek zaprawionego wina oraz ruchomości gospodarskie, składające się z tuzina lichych białych butli, tyłuż kieliszków oraz kilku stołów i ławek jodłowych, które, ongiś polakierowane na kolor krwisto-czerwony, teraz były rozlicznie zszorowane. Przed oknem skrzypiała żelazna obręcz na haku, a w obręczy tej blaszana ręka nalewała z kubka wino czerwone do kieliszka. Prócz tego nade drzwiami domu wisiała wiecha

z uschniętej palmy, a wszystko to Manc wraz dostał w dzierżawę. Z tej przyczyny nie był on tak dobrej myśli, jak jego żona, lecz w złem przeczuciu i pełen gniewu głuchego sam poganiał chude koniska, które najął u nowego gospodarza, gdyż ostatnie parszywe parobczątko, jakie jeszcze miał, opuściło go już przed kilkoma tygodniami. Gdy tak oto odjeżdżał, dobrze widział, jak Marti, szydząc i ciesząc się z cudzej niedoli, czemś się niby niedaleko od ulicy zaprzętał, — i kłął go, jako jedynego sprawcę swego nieszczęścia. Sali zaś, skoro tylko wóz z miejsca ruszył, przyśpieszając kroku, wyprzedził furę i bocznymi drogami sam poszedł do miasta.

«Otóż i jesteście!» rzekł Manc, gdy wóz zatrzymał się przed spelunką. Żona jego przeraziła się na ten widok, gdyż w rzeczy samej była to gospoda arcysmętna. Ludziska podeszli skwapliwie do okien, skupili się przede drzwiami, by przyjrzeć się nowemu oberżystce — chłopu, i ze swą seldwilską wyższością robili miny współczująco-drwiące. Gniewna i z wilgotnemi oczyma zlaźła Mancowa z wozu i pobiegła — język swój tymczasem ostrząc — do wnętrza domu, by na modłę pańską już się dzisiaj nie pokazać; albowiem wstydziła się lichych statków domowych i łózek popsutych, które właśnie z wozu znoszo-

no. Sali też się wstydził, ale musiał pomagać ojcu, i obaj urządzili osobliwszy magazyn w uliczce, gdzie rychło dzieci bankrutów zaczęły skakać dookoła nich i naigrawać się z chłopskiej hołoty, zesłej na psy. Ale jeszcze żałośniej i biedniej wyglądało wnętrze domu, podobne do istnej jamy zbójckiej: nagie ściany były lichy pobielone i wilgotne, prócz ciemnej niemifej izby gościnnej z owymi ongiś krwawo-czerwonemi stołami były jeszcze tylko dwie liche izbiny, a wszędzie najokropniejsze brudy i śmiecie, jakie poprzednik, wyprowadzając się, zostawił po sobie.

Taki był początek i tak też szło dalej. W ciągu pierwszych tygodni zachodziła czasem, zwłaszcza wieczorem, garść ludzi i obsiadała jakiś stolik, by zobaczyć tego chłopskiego gazdę, ciekawa, czy nie zdarzą się tam aby jakie ucieszne kawały. Lecz w samym gospodarzu nie było co obserwować, gdyż Manc niezgrabny, niemrawy, niezycliwy i melancholijny — wcale zachować się nie umiał, zgoła na wszystko obojętny. Powoli i niezręcznie napełniał kubki, stawiał je mrukliwie przed gośćmi i próbował coś powiedzieć, ale nic z siebie nie mógł wykrzesać. Z tem większym zapałem wzięła się do dzieła, chwyciwszy za cugle, jego żona i rzeczywiście przez dni kilka ściała ludzi, — ale przychodzili oni z całkiem innych

pobudek, niż ona mniemała. Dość gruba ta niewiasta zdziubała sobie osobliwy strój domowy, w którym będzie — jak sądziła — nieprzeparcie pociągająca. Do spódnicy z surowego płótna chłopskiego nosiła stary lejbiak z zielonego jedwabiu oraz bawełniany fartuch i tandetny biały kołnierz, niegęste już włosy zwinęła na skroniach w ucieszne ślimaczki, a warkoczyk zapięła ztytu wysokim grzebieniem. Tak wierząc się wciąż i podrygując wokoło z przesadnym wdziękiem, śmieszenie sznurowała gębę gwoli nadania sobie słodyczy, w elastycznych podskokach podbiegała do stołów i stawiając kieliszek lub talerz ze słonym serem, mówiła, uśmiechając się przymilnie: «Tak — tak? tak — tak-ci! Pięknie, pięknie, waszmościowie!» i podobne insze brednie, gdyż choć zazwyczaj miała język obrotny, teraz jednak nie umiała wydobyć z siebie nic dorzecznego, ponieważ była tu obca i ludzi nie znała. Seldwilczycy najgorszego gatunku, którzy tam zasiedli, dusili się ze śmiechu, ręką sobie usta zakrywając, i pod stołem tręcali się nogami, mówiąc: «Do kaduka: to-ci setna baba!» «Niebiańska, jak mi Bóg miły!» rzekł drugi, «opłaci się tu przychodzić: takiej dawnośmy już nie widzieli!». Mąż zauważył to ponurym swym wzrokiem, dał jej sujkę w bok i szepnął: «Stara krowo! Co ty

wyprawiasz?» — «Nie przeszkadzaj mi», odburknęła, «ty stary bałwanie! czyż nie widzisz, jaki sobie trud zadaję i że z ludźmi wychodzić umiem? Ale to są tylko szuje z twojej bandy! Zostaw mi jeno swobodę, a będę mieć tu wrychle panów jak się patrzy». Wszystko to działo się przy świetle jednej czy dwóch łożówek, syn zaś Sali wyszedł z izby gościnnej do ciemnej kuchni, siadł sobie na przypiecku i zapłakał nad ojcem i matką.

Goście rychło nasycili się tem widowiskiem, jakie dawała im uprzejma pani Mancowa, i pociągnęli znowu tam, gdzie im było lepiej i gdzie z cudackiej gospody dowoli śmiać się mogli, tylko kiedy niekiedy zjawiał się ten i ów w pojedynkę, wychylał kieliszek i ziewał, gapiąc się po ścianach, wyjątkowo trafiło się czasem, że przyszła cała banda, aby złudzić biedaków przemijającym rozgwarem i hałasem. Było im coraz tęskliwiej i trwożniej w tym ciasnym kamiennym narożniku, gdzie ledwo że słońce widzieli, a Manc, który zwykł był dniami całymi tkwić w mieście, czuł się teraz nieznośnie w tych murach. Na myśl o swobodnej szerzy pól, zadumany ponuro, wlepiął wzrok w sufit lub w podłogę, wybiegał przed wąskie drzwi domu i znowuż napowrót, ponieważ sąsiedzi gapili się na złego gospodarza, jak go już nazywano.

Ale taki stan rzeczy trwał niedługo: zbiednieli doszczętnie i nic im już w garści nie zostało, aby mieć co zjeść, musieli czekać, aż ktoś tam przyszedł i za krzywą pieniędzy cosik z resztek jeszcze wina wydudłał, a jeśli zażądał kiełbasy lub czegoś podobnego, często bywali w największej obawie i trosce, skądby ją tu wytrzasnąć. Wkrótce doszło już do tego, że wino trzymali skrycie w jednej jeszcze tylko wielkiej butli, którą potajemnie w innej knajpie napełniać sobie kazali, — i tak oto bez wina i chleba mieli grać rolę uprzejmych gospodarzy, nie zjadłszy nawet porządnie. Nieomal radzi byli, jeśli nikt nie przychodził, i wysiadali tak w swej knajpce, nie mogąc ni żyć, ni umrzeć. Po tych smutnych doświadczeniach kobieta zwlokła z siebie ów zielony lejbik i po raz wtóry się przeobraziła, gdyż, jak pierwej wady, tak teraz niektóre zalety białogłowskie w niej się ujawniły, i bardziej je w sobie wyrabiała, gdy im oto bieda wlaźła za pazuchę. Uprawiała cierpliwość i usiłowała staro podtrzymać na duchu, a młodzika do dobrze nakłaniać, poświęcała się wielorako we wszelkich rzeczach, dość — że na swój sposób wywierała niejako wpływ dobroczynny, który wprawdzie nie daleko sięgał i niewiele naprawiał, ale bądź co bądź był lepszy, niż żaden lub przeciwny, i przynajmniej pozwalał im przewlekać pasmo dni, które

inaczej musiałyby się dla tych ludzi wcześniej urwać. Teraz oto potrafiła dać niejedną radę w marnych drobiazgach, wedle swego rozumienia, a jeśli ta okazała się nic nie warta lub chybioną, z poddaniem się znosiła złość i gniew mężczyzn, słowem — zestarzawszy się, czyniła teraz wszystko, co byłoby się lepiej przydało, gdyby była robiła to wcześniej.

By przynajmniej mieć co na ząb położyć i móc czas jakoś przepędzić, ojciec i syn jęli się rybołówstwa, to znaczy chwycili za wędki, jako że każdemu wolno było zapuszczać je w rzekę. Było to także jednym z głównych zajęć zbankrutowanych seldwilczyków. Przy sprzyjającej pogodzie, gdy ryby chętnie szły na przynętę, widywano ich, jak tuzinami wyruszali z prętem i wiadrem, a przechadzając się brzegami rzeki, napotykało się co stajanie kogoś, jak kucnąwszy zarzucał wędkę: jeden w długim brunatnym surducie mieszczańskim trzymał gołe nogi w wodzie, drugi w niebieskim fraku o śpiczastych połach, w wysłużonym filcu na bakier stał na starej wierzbie, dalej nieco zapuszczał wędkę ktoś w podartym, wściekle kwiecistym szlafroku, bo nic innego już nie miał, z długą fajką w jednej, z prętem w drugiej ręce, a na skrócie rzeki na kamieniu stał nagusieńki stary tysoń brzuchaty i zapuszczał wędkę: mimo przeby-

wania nad wodą nogi jego były-ci tak czarne, iż przysięgłbyś, że jest w butach. Każdy z nich miał przy sobie garnuszek lub pudełeczko, gdzie wiły się glisty, które wygrzebywali w innych godzinach. Gdy niebo było zasnuwane chmurami, a dzień parny i mroczny, co zapowiadało deszcz, postaci te skupiały się nad wolno toczącą się rzeką i stały nieruchomo, podobne do galerji figur świętych lub proroków. Nie bacząc na nich, przeciągali obok z bydłem i wozami wieśniacy, a wioślarze na rzece nie spoglądali ku nim wcale, gdy oni natomiast obruszali się cicho na przeszkadzające im łodzie.

Gdyby Mancowi przed laty dwunastu, gdy z pięknym sprzężajem orał pagórek nadrzeczny, był kto przepowiedział, iż kiedyś przyłączy się do tych cudacznych świętych i jak oni ryby łowić będzie, byłby się porwał do pięści. To też teraz przemyczał się śpiesznie poza ich plecami i dążył skwapliwie w górę rzeki, podobien fantastycznemu cieniowi z podziemnego świata, co nad mrocznymi wodami uparcie szuka samotnej i wygodnej ustroni dla swego potępienia. Ale że stać z wędką ani on, ani jego syn nie mieli cierpliwości, a przypomnieli sobie, jako to podochoceni chłopci na różne inne sposoby ryby łowią, osobliwie rękoma w strumieniach, — tedy wędki wzięli z sobą

jeno dla pozoru i skierowali się w górę potoków, gdzie — jak im było wiadomo — są dobre i drogie pstrągi.

Tymczasem zaś pozostałemu na wsi Martiemu szło też coraz gorzej i przytem okrutnie mu się nudziło, tak iż zamiast pracować na swem zaniedbanem polu wpadł na pomysł rybowania — i dniami całemi w wodzie tu i tam pluskotał. Wrence nie wolno było oddalać się od jego boku, musiała nosić za nim wiadro i wszelki sprzęt rybacki przez mokradła, ruczaje i różne bagniska podczas deszczu i spieki, gdy tymczasem w domu leżała odłogiem nawet najpilniejsza robota, albowiem nie było tam już, zresztą, ani żywej duszy, również i do posługi, ponieważ Marti stracił ot większą część swego gruntu i posiadał jeszcze tylko kilka stajonek, których wcale nie uprawiał lub też niedbale z pomocą córki.

Zdarzyło się tedy, że pewnego wieczora, gdy szedł wzdłuż dosyć głębokiego i wartkiego potoku, w którym pstrągi ustawicznie się rzucały, jako że niebo było zasnuwane chmurami, zwiastującymi burzę, natknął się niespodzianie na swego wroga Manca, który nadchodził z przeciwnego brzegu. Skoro go zoczył, weszła w nim straszna gniew i szyderstwo, już od lat wielu nie zetknęli się tak blisko z sobą, chyba przed kratkami sądo-

wemi, gdzie wymyślać sobie nie mogli, Marti wrzasnął teraz zażarcie: «Co tu robisz, ty psie? Nie możesz to siedzieć w swym łajdackim barłogu, ty pieskie nasienie, ty seldwiłski ciarachu!»

«Zejdiesz i ty rychło na psy, ty jucho!» zawołał Manc. «Ryby też już łowisz, to więc niewiele masz już do stracenia!»

«Milcz, ty obwiesiu!» darł się Marti, jako że w tem miejscu fale potoku silniej szumiały, «tyś mnie puścił z torbami!» A że oto i wierzby nadwodne gwałtownie szumieć zaczęły, miotane wichurą zrywającej się burzy, więc Manc wydzierał się teraz wniebogłosy: «Żeby jeno tak było, śmiałbym ja się całą gębą, ty nędzny cymbale!» — «O, ty psie!» wrzeszczał Marti z jednej strony, Manc zaś z drugiej odkrzykiwał: «O, ty cielaku, rozumu za grosz nie masz!» Zaczem ów, rzucając się jak tygrys wzdłuż potoku, usiłował przedostać się na tę stronę. Powód większej jego wściekłości tkwił w mniemaniu, że Manc jako oberżysta ma przynajmniej jadła i picia pod dostatkiem i do pewnego stopnia ucieszny żywot wie dzie, podczas gdy on niesłusznie się tak nudzi w swej rozwalonej zagrodzie. Manc tymczasem, też dość zażarty, kroczył przed się po drugiej stronie, a za nim jego syn, który, zamiast baczyć słuchem na groźny spór, rzucał ciekawe i zdziwione spojrzenia ku Wrence, co szła

za swym ojcem, wbiwszy ze wstydu oczy w ziemię, aż brunatne kędziory na twarz jej spadły. W jednej ręce niosła drewniane wiadro na ryby, a w drugiej trzymała trzewiki i pończochy oraz podkasaną przed zamoczeniem spódnice. Lecz spostrzegłszy, że z przeciwnej strony idzie Sali, opuściła ją wstydliwie i była oto obarczona potrójnie i udręczona, ponieważ i statki wszystkie dźwigać i spódnice przytrzymywać i z powodu kłótni srodze trapić się musiała. Gdyby była podniosła oczy i spojrzała na Saliego, byłaby zrobiła odkrycie, że nie wygląda już ani z pańska, ani bardzo dumnie i że sam jest dość stroskany. Gdy oto Wrenka patrzyła tak w ziemię całkiem zawstydzona i zmieszana, Sali zaś miał na oku tylko tę, mimo całej nędzy, smukłą i powabną postać, co tak zakłopotana i pokorna przed się kroczyła, oboje nie spostrzegli przytem, jak ich ojcowie oto ucichli, ale zato ze wzmożoną wściekłością pośpieszali ku pobliskiej drewnianej kładce, która prowadziła przez potok i właśnie stała się widoczna. W tej chwili pierwsza błyskawica dziwnie oświetliła ciemną melancholijną okolicę wodną, w szaro-czarnych chmurach zagrzmiało z gniewnym pomrukiem, i spadły ciężkie krople dżdżu, gdy zdziczali mężowie wpadli na wąską kładkę, która zachwiała się pod ich stopami, sczepili się

z sobą, waląc wzajem pięściami po twarzach zbladłych, drgających z gniewu i tej wybuchłej zgryzoty.

Nieucznie to i zgoła nieobyčajnie, jeśli ludziom zazwyczaj statecznym jednak się zdarzy z podochocenia, nierozwagi lub w celu samoobrony — w oczach gawiedzi ciosy rozdawać lub odbierać, wszelako jest to jeno niewinną igraszką wobec przepastnej nędzy, jaka przemaga dwóch starych ludzi, którzy znają się dobrze i oddawna się znają, jeśli tacy wskutek najgłębszej wrogości i przebiegu całego życia poprostu za bary się chwytają i pięściami grzmocą. Tak czynili teraz ci dwaj posiwiali ojcowie, przed pięćdziesięcioma laty po raz ostatni może jako wyrostki za fby się wodzili, ale potem już przez długich lat pięćdziesiąt jeden drugiego ręką nie tknął, chyba tylko w onych dobrych dla się czasach, gdy na powitanie prawice sobie potrzęsali, a i to rzadko wobec swej oschłej i statecznej natury. Uderzywszy raz i drugi, wstrzymali się i zmagali cicho z sobą, drząc na całym ciele, chwilami tylko postękiwali, w bezsilnej wściekłości zgrzytając zębami, przyczem obaj usiłowali nawzajem wrzucić się do wody poprzez trzeszczącą barjerę. Ale w tejsze samej chwili nadeszły ich dzieci i ujrzały tę scenę, tak żałosną w swej nędzy. Sali z miejsca przy-

skoczył, by ojca swego wesprzeć i pomóc mu, a zadać bobu znenawidzonemu wrogowi, który i bez tego zdawał się być słabszym, i jeszcze chwila, a byłby uległ. Lecz i Wrenka, precz wszystko odrzuciwszy, poskoczyła ku ojcu z przeciągłym krzykiem i, by go zasłonić, objęła ramiony, czem mu jeno wadziła i obronę utrudniała. Łzy trysnęły jej z oczu i patrzyła błagalnie na Saliego, który bliski już był pochwylenia jej ojca i przemożenia go całkiem. Lecz mimowoli schwycił ręką własnego ojca i mocnem ramieniem usiłował oderwać go od przeciwnika i uspokoić, tak iż walka ustała na chwilę, a raczej cała grupa, nie rrywając się, parła tam i sam. Przytem młodzie, bardziej się między starych wciskając, przymknęli do siebie, a w tym momencie jaskrawy błysk zachodzącego słońca, przedarłszy się przez chmurę, oświetlił bliską twarzyczkę dziewczęcia, — i Sali spojrział w to oblicze, tak dobrze mu znane, a przecież tak zmienione już i wypiękniałe. Jednocześnie Wrenka, dostrzegłszy jego zdziwienie, w trwodze swej zdobyła się na przelotny uśmiech przez łzy. Lecz on już zebrał się w sobie, wytrzeźwiony przez wysiłki ojca, który chciał go z siebie strząsnąć, i przez wnikliwie nalegania oraz stanowczą postawę odciągnął go wreszcie całkiem precz od przeciwnika. Oba stare draby odetchnęli głę-

boko i, odwróceniem od siebie, zaczęli znowu wymyślać i krzyczeć, natomiast dzieci ich ledwie dyszały i były ciche jak śmierć, pomimo to, rozchodząc się i rozłączając, zdążyły za plecami starszych prędko podać sobie ręce chłodne i wilgotne od ryb i wody.

Gdy obie strony w głuchym gniewie szły każda w swoją drogę, chmury znowu się zwały, pociemniało bardziej, i deszcz lunął strumieniami, siekąc powietrze. Mąc włócił się przodem po ciemnych mokrych drogach, skulony pod dżdżu potokami, z rękoma w kieszeniach, drgał jeszcze na twarzy i kłapał zębami, a z oczu ciekły mu łzy samotne, którym pozwalał spływać na szczecinowatą brodę, nie chcąc się zdradzić przez ich obcieranie. Syn jednak nic nie widział, ponieważ szedł pogrążony w obrazach błogiej szczęśliwości. Niebaczny na deszcz i burzę, ciemności i nędzę, czuł lekkość, jasność i ciepło wewnątrz i zewnątrz, czuł się tak bogatym i bezpiecznym, niczem królewicz. Wciąż widział trwający ledwie sekundę uśmiech pięknego oblicza, które przed chwilą było tak blisko, i teraz dopiero, w dobre pół godziny, odpowiadał nań, gdy pełen miłości uśmiechał się w noc i słotę, a wraz — i do lubej twarzyczki, co mu wszędy z pomroki szła na spotkanie, tak iż mniemał, że Wrenka

na swej drodze te uśmiechy musi widzieć i brać w siebie.

*

Nazajutrz ojciec jego był jak rozbity i nie chciał ruszyć się z domu. Cała ta sprawa i wie-
loletnia nędza przybrała dziś nową, wyraźniejszą
postać i rozpostarła się mrocznie w dusznym po-
wietrzu nory, tak iż oboje, mąż i żona, bezsilni
i trwożni, obchodzili ukradkiem zmorę, ślaniając
się z pokoju do ciemnych izbin, stamtąd do kuch-
ni, a z tej znowuż do pokoju, gdzie żaden gość
się nie pokazywał. Wreszcie każde przycupnęło
w kącie, i rozpoczęło się na dzień cały wzajemne
znużone śmiertelnie dogryzanie sobie, przyczem
od czasu do czasu oboje zasypiali, dręczeni przez
niespokojne koszmaryienne, które, z sumienia
pochodząc, znowuż ich budziły. Ale Sali nic z te-
go nie widział i nie słyszał, bo myślał jeno o Wren-
ce. Wciąż jeszcze było mu tak na duszy, jak
gdyby był nie tylko bajecznie bogaty, ale też i cze-
goś istotnego się nauczył i nieskończenie wiele
pięknych i dobrych rzeczy wiedział, skoro oto tak
dokładnie i wyraźnie to pojmował, co wczoraj
zobaczył. Ta wiedza spadła mu jak z nieba, to też
był ciągle w stanie szczęśliwego nad tem zadzi-
wienia, a przecież doznawał takiego uczucia, jak-
żeby właściwie zdawna już znał i wiedział to, co

teraz napełniało go taką przedziwną słodkością.
Albowiem nic nie równa się bogactwu i otchłan-
nej głębi szczęścia, które przystępuje do człowie-
ka w tak jasnej i wyraźnej postaci, ochrzczone
przez księżula i zaopatrzone własnym imieniem,
które brzmi odrębnie od innych.

W dniu tym Sali nie czuł się ani próżniaczym,
ani nieszczęśliwym, ani biednym, ani beznadziej-
nym: był on w pełni zaprzątnięty wyobrażaniem
sobie oblicza i postaci Wrenki, bezustannie, go-
dzina za godziną, wszelako w tem podnieceniu
sam przedmiot owej czynności wymykał mu się
prawie całkiem, to znaczy: wkońcu uroił on so-
bie, iż jednak nie wie, jak Wrenka właściwie wy-
gląda, i że ma on w pamięci wprawdzie ogólną
sylwetkę, ale gdyby musiał ją opisać, nie potra-
fiłby tego uczynić. Wciąż widział jej obraz, jak-
by tuż przed sobą, i czuł przyjemne onego wra-
żenie, a jednak widział go tylko tak, jak coś, co
się raz jeno widziało, coś, co nad nami ma moc,
a czego przecież się nie zna. Przypominał sobie
dokładnie z wielkiem upodobaniem te rysy twa-
rzy, jakie miała dziewczuszka ongiś, a nie te wła-
ściwie, jakie widział wczoraj. Gdyby nie był uj-
rzał Wrenki ponownie, to jego pamięć, zebrawszy
się z siłami, byłaby musiała dać sobie jakoś radę
i dokładną mięgę oblicza złożyć znowu całość,

izby w niem żadnego rysu nie brakło. Ale teraz chytrze i uporczywie siły te wypowiadały mu służbę, ponieważ oczy dopominały się o swoje prawa i swą uciechę, więc gdy popołudniu słońce jasno i ciepło oświetlało górne pięterka czarnych domów, wymknął się Sali w stronę bramy i podążył ku dawnej ojcowiznie, która teraz dopiero wydała mu się niebiańskim Jeruzalem z dwunastoma błyszczącymi wrotami i przyprawiała go o bicie serca, gdy do niej się zbliżał.

Po drodze natknął się na ojca Wrenki, który snadź szedł do miasta. Wyglądał-ci on bardzo dziko i szubrawie: z posiwiąłą, od tygodni niestrzyżoną brodą był na wejrzenie jako iście zły chłop-zatraceniec, który przemarnował swe pole, a teraz oto idzie, by innym złoczyńcą. Przecież w chwili mijania się Sali patrzył nań już bez nienawiści, jeno pełen grozy, jakżeby życie jego było w ręku tego człowieka, a on wołał je u niego wybłagać, niż wymóc zuchwale. Marti zaś zmierzył go złem spojrzeniem od góry do dołu i poszedł sobie dalej. Saliemu wszelako było to akurat na rękę, bo oto, gdy ujrzał, że stary wieś opuścił, wnet się zmiarkował, czego on sam tu właściwie chce, zaczęł po starych, znanych sobie ścieżkach, okalających wieś, przemykał się chyłkiem przez zakryte uliczki tak długo, aż wreszcie znalazł się naprzeciw zagrody

i domu Martiego. Od wielu już lat nie widział on tego miejsca z tak bliska, albowiem także w onczas, gdy jeszcze tu mieszkali, ludzie ci, stawszy się nieprzyjaciółmi, strzegli się z obu stron, by nie wchodzić sobie w drogę. Przeto Sali zdumiał się na widok tego, czego przecież doświadczył już na własnym ojcowskim domu, i pełen zadziwu wpatrzył się osłupiały w pustosz, jaką ujrzał przed sobą. Martiemu zafantowano jeden kawałek pola po drugim, więc nie posiadał on już nic prócz domu z dziedzińcem i kawałatką ogrodu oraz kilku stajonek na przyrzecznym pagórku, którego z uporem najdłużej nie chciał z rąk wypuścić.

Ale nie było już mowy o jakiegokolwiek porządnej uprawie, więc na polu, gdzie dawniej równe zboże tak pięknie w czasie żniwa falowało, teraz były zasiane wszelakiego rodzaju odpadki i resztki nasion, ze starych pudełek i podartych tutek wytrzęsione bezładnie, powschodziły: rzepa, kapusta, marchew, buraki i tym podobne wraz z trochę ziemniaków — tak iż pole wyglądało, jak całkiem zapuszczone warzywisko o cudacznym deseniu, jakby poto założone, by żyć z niego z ręki do ust, tu garść rzepy wyrwać, gdy się głodnym było, a nic lepszego napodorędziu nie miało, tam nabrać zajdy ziemniaków lub kapusty, a reszta —

niech się pleni jak Bóg da, lub gnije jako zechce. Każdy też tam upędzał po tem warzywisku, deptając dookoła, jako mu się podobało, a szeroki, piękny dawniej kawałek pola teraz wyglądał niemal tak, jak ów pierwaj beapański fan, z którego całe to nieszczęście poszło. Przeto wokół domu nie widziałeś i śladu gospodarstwa rolnego: stajnia była pusta, drzwi zwisały na jednym tylko zawiasie, a nad mrocznem wejściem błyszczwały w słońcu nici pajęczce, jakie wysnuły z siebie, podrosły w ciągu lata, niezliczone pająki-krzyżaki. Przed rozwartemi wrotami stodoły, do której niegdyś plody ziemi zwożono, wisiał teraz lichey sprzęt rybacki — świadectwo opacznej fuszerki wodnej; na podwórku nie dostrzegłeś ani jednej kury, ani jednego gołębia, nie uświadczyłeś też tam ani kota, ani psa; czemciś niby żywem była tam jeszcze tylko studnia, ale woda nie płynęła z niej przez rury, lecz przez pęknięcie tuż przy ziemi tryskała hen ponad nią, tworząc wszędzie małe kałuże; przedstawiała ona najlepszy symbol lenistwa: albowiem przy małym trudzie ze strony ojca i dziurę zatkać, i rurę naprawić można było, — a tak Wrenka musiała się oto zamęczać i sama jedna ułapywać wodę czystą przed tem niechlujnem zmarnieniem, pranie swe zaś przedsiębrać w płytkich zbiornikach na ziemi — miast w rozeschniętem korycie. Wygląd

samego domu był również opłakany: okna, w wielu miejscach potrzaskane i papierem zalepione, mimo to w całej tej ruinie sprawiały wrażenie czegoś najprzytulniejszego, albowiem nie tylko ramy, ale nawet i te potłuczone szyby, starannie i czysto wymyte, ba, poprostu wypolerowane, jaśniały takim blaskiem, jak oczy Wrenki, które przy ubóstwie musiały jej też zastąpić wszelki, zresztą, przepych i okazałość. A jak do oczu Wrenki pasowały kędzierzawe włosy i czerwono-żółte perkalikowe chustki na szyję, tak lśniącem tym oknom do twarzy było w zieleni zdziczałych roślin, pnących się bezładnie jedna przez drugą dookoła domu: trzepotały się tu gąszcze fasoli oraz woniała czerwono-żółta tłuszcza złocistego laku. Fasola chwytiała się, za co mogła: tu za rękojęść grabi lub za kij wetkniętej w ziemię szczotki, tam za zżartą przez rdzę halabardę czyli sponton, jak broń tę nazywano w czasach, gdy dziadek Wrenki nosił rzecz tę jako wachmistrz, a którą ona teraz w potrzebie między fasolę wsadziła; gdzieindziej swawolna roślina pięła się wesoło po spróchniałej drabinie, przypartej do ściany od niepamiętnych czasów, i stamtąd zwieszała się, spadając na przeczyste okienka, podobnie jak kędziory Wrenki — na jej jasne oczy. Ta bardziej malownicza niż gospodarska zagroda, położona nieco na uboczu,

nie miała żadnych bliższych sąsiadów, a i w tej chwili nie dostrzegłaś naokół nigdzie żywej duszy, z całym tedy spokojem Sali przywarł plecami do jakiejś starej stodółki, oddalonej mniej więcej o trzydzieści kroków, i wlepił oczy wprost w ciche, opustoszałe domostwo. Przez dobrą chwilę stał tak przywarty i patrzył, aż oto Wrenka wyszła przede drzwi i długo spozierała wdał, jakby wszystkimi myślami zawisła na jednym przedmiocie. Sali nie ruszał się i nie odwracał oczu od niej. Gdy wkońcu przypadkiem skierowała wzrok w tę stronę, on wpadł jej w oczy. Przypatrywali się sobie wzajemnie, z tej i z tamtej strony, jakżeby obserwowali jakieś zjawisko powietrzne, aż wreszcie Sali się wyprostował i przez ulicę i podwórze szedł wolno ku Wrence. Gdy był blisko dziewczyny, wyciągnęła ku niemu ręce i rzekła: «Sali!» On chwycił jej dłonie i wciąż wpatrywał się w jej twarz. Łzy trysnęły jej z oczu, a oblewając się ponosem pod jego spojrzeniami, rzekła: «I czegoś chcesz tutaj?» — «Tylko na ciebie popatrzeć!» odrzekł, «chcesz, a będziem znowu dobrymi przyjaciółmi?» — «A nasi rodzice?» spytała Wrenka i pochyliła na bok zapłakane oblicze, gdyż mając ręce uwięzione, zasłonić twarzy nie mogła. «Czyż my winni temu, co oni uczynili i co się z nich zrobiło?» rzekł Sali, «może całą tę nędzę jeno na-

prawić zdołamy, jeżeli oboje trzymać się razem i spełna miłować będziemy!» — «Nigdy dobrze już nie będzie», odrzekła Wrenka z głębokim westchnieniem, «idź sobie w Imię Boże, idź, Sali!» — «Czyś sama?» zapytał, «czy mogę wejść na chwilę?» — «Ojciec poszedł do miasta, by twemu ojcu — jak mówił — przypiąć jakąś łatkę, wszelako wejść nie możesz, gdyż potem chyba nie udałoby ci się odejść tak niepostrzeżenie, jak teraz. Cicho jeszcze wszędzie wokół i nikogo na zakręcie drogi, proszę cię: idź sobie teraz!» — «Nie, tak nie odejdę! od wczoraj wciąż o tobie myśleć musiałem i nie pójdę tak oto precz, musimy pomówić z sobą conajmniej przez pół godziny albo i godzinę, dobrze to nam zrobi!» Wrenka namyślała się przez chwilę, zaczęła rzekła: «Pod wieczór pójdę na grunt — wiesz który, mamyć jeszcze tylko ten jeden kawałek — i przyniosę trochę jarzyn. Wiem, iż nikogo więcej tam nie będzie, ponieważ ludzie żną gdzieindziej, jeśli chcesz, to przyjdź tam, ale teraz idź i bacz, żeby cię nikt nie widział! Choć nikt tutaj z nami się już nie zadaje, przecież takieby wszczęli plotkowanie, że zarazby to doszło uszu ojca». Zaczem puścili sobie ręce, lecz zaraz znowu je pochwycili i oboje rzekli jednocześnie: «A jak też tobie się powodzi?» Ale zamiast odpowiedzieć sobie, pytali się o toż samo ponownie,

a odpowiedź widniała tylko w oczach wymownych, gdyż — zwyczajem zakochanych — nie umieli już kierować słowami, więc, nie powiedziawszy sobie nic więcej, wkońcu — napoły wniebowzięci, a napoły smutni — rozpierzchli się... «Wyjdę rychło, rychlutko, idź tam jeno zaraz!» wołała jeszcze za nim Wrenka.

To też Sali udał się natychmiast na cichy piękny pagórek, gdzie rozciągały się owe dwa pola, majestatyczne słońce lipcowe, białe obłoki, płynące w dal ponad falującym szmatem dojrzałego zboża, lśniącą się błękitna rzeka, co poniżej mimo toczyła swe fale: wszystko to po raz pierwszy od lat wielu napełniało go znowuż szczęściem i zadowoleniem, głuszając troskę, zapadł więc w przejrzysty półcień zboża tam, gdzie ono graniczyło ze zdziczałym gruntem Martiego, i szczęśliw spozierał w niebo.

Choć ledwie tylko ćwierć godziny minęło, nim Wrenka nadeszła, a on o niczem innem nie myślał, jeno o swem szczęściu i jego nazwie, przecież stanęła przed nim nagle i niespodzianie, z uśmiechem patrząc na leżącego, zaczęł on, radośnie przestraszony, zerwał się na równe nogi. «Wrenusiu!» zawołał, a ta podała mu cicho i z uśmiechem obie ręce, i dłoń w dłoni zeszedli oboje wzdłuż szepczącego zboża aż do rzeki i znowu z powro-

tem, niewiele mówiąc; dwa czy trzy razy odbyli tę drogę cisi, szczęśliwi i spokojni, tak że ta zgodna para też podobna była oto gwiazdozbiorowi, zachodzącemu nad słonecznym zaokrągleniem pagórka i tam zapadającemu, jak ongiś spokojnie i pewnie orzące pługi ich ojców. Ale gdy wraz oderwali oczy od błękitu polnych kwiatów, w które byli wpatrzeni, zoczyli nagle inną ciemną gwiazdę, przed się krocząca: czarniawego człeka, który — niewiedzieć skąd — wziął się tu niespodzianie. Pewnikiem leżał w zbożu; Wrenka drgnęła i skuliła się, a Sali rzekł przestraszony: «Czarny skrzypek!» W rzeczy samej człeczyna, co włókł się ku nim, niósł skrzypce i smyczek pod pachą i naprawdę też wyglądał dość czarno: prócz czarnego filcowego kapelusika i czarnego zamorusanego spencera, jaki miał na sobie, włosy jego były też czarne, jak smoła, niestrzyżona broda, twarz i ręce były takież uczernione; albowiem parał on się wszelkiem rzemiosłem, przeważnie łataniem kotłów, pomagał też węglarzom i smolarzom w lasach, a ze skrzypkami wychodził jeno na dobrą gratkę, gdy gdzieś się chłopci weselili, jakąś uroczystość oblewając. Sali i Wrenka szli tuż za nim cichuteńko, myśląc, iż zejdzie z pola i zniknie, nie obzierając się, i tak też pewnie było, bo zachowywał się, niby ich wcale nie spostrzegł. Byli przytem jakby urzeczeni, iż

się nie wazyli na opuszczenie wąskiej miedzy, i mimowoli szli za cudacznym kompanem aż na skraj pola, gdzie leżała owa nieprawna kupa kamieni, co wciąż jeszcze pokrywała sporny szmatek gruntu. Bezlik maków czy anemonów rozpełnił się na nim, przez co mała góra wyglądała w tej porze ogniście czerwono. Nagle czarny skrzypek wskoczył jednym susem na czerwono odzianą masę kamieni, odwrócił się i spojrzał dookoła. Nasza parka przystanęła i w zakłopotaniu spozierała na ciemnego pacholka, albowiem przejść mimo nie mogli, gdyż droga wiodła do wsi, nawrócić zaś w jego oczach — nie chcieli. Spojrzał na nich ostro i zawołał: «Znam ja was, wyście dzieci tych, co mi tę tu ziemię ukradli! Cieszy mnie to, iż widzę, jak pięknieście na tem wyszli, i pewnie dożyję jeszcze tego, że was tu przed sobą nagusieńkich, bez koszuli, zobaczę. Przypatrzcie mi się jeno, wy, dwa wróbelki! Podoba wam się mój nos, co?» W rzeczy samej, miał on nochal straszeczny, co jak wielki kątomierz z suchej czarnej twarzy wystawał, a raczej podobny był właściwie do grubego kołka lub batoga, wetkniętego w to oblicze, pod niem zaś wydymały się osobliwie i ściągały usta, niby mała dziurka okrągła, przez którą on bezustannie prychał, gwizdał i świszczał. Mały kapelusik filcowy był przytem okropny, ni okrąg-

ły, ni kanciaty, a miał formę tak dziwaczną, iż zdawało się, że co chwila zmienia swój kształt, chociaż siedział nieruchomo, z ocz tylko białka było widać temu cudakowi — źrenice bowiem wędrowały ustawnie z szybkością błyskawiczną i zygzakiem, jak dwa zające, wokół skakały. «Przypatrzcie mi się jeno!» ciągnął dalej, «wasi ojcowie znają mnie dobrze, a i każdy w tej wsi wie, kto ja jestem, skoro tylko spojrzy na mój nos. Obwieszczono przed laty, że kawał grosza leży gotów dla spadkobiercy tego gruntu, dwadzieścia razy się zgłaszałem, ale nie mam nijakiej metryki ani żadnego świadectwa krajowości, moi zaś przyjaciele, ci bezdomni, co to widzieli moje narodziny, nie mają żadnych dokumentów ważnych, tak więc termin dawno już upłynął, a jam stratny o tę krawawicę, z którą mógłbym być wywędrować! Ojców waszych błagałem, iżby zaświadczyli, że według swego sumienia mnie za prawego spadkobiercę uważać muszą, ale oni wypędzili mnie ze swych zagród, a oto ich samych djabli wzięli! Juźci, taki jest bieg rzeczy na tym świecie, ja-ć się nie przeciwię i gotówem wam zagrać, jeśli tańczyć chcecie!» Z temi słowy zeskoczył z kamieni na drugą stronę i skierował się ku wsi, gdzie pod wieczór, zwiózłszy obfity plon żniwny, ludzie byli dobrej myśli. Gdy cudak znikł, Sali i Wrenka

osunęli się na kamienie, zupełnie upadli na duchu, w strapieniu puścili swe splecione dłonie i smutne głowy na nich oparli, albowiem zjawienie się skrzypka i jego słowa wyrwały ich z tego szczęśliwego zapomnienia, w którym pogrążeni, jak dwoje dzieci, tam i sam się snuli, a gdy teraz siedzieli na twardym gruncie swej nędzy, zaćmiło się radosne światło życia, i dusze ich stały się ciężkie, jak kamienie.

Tedy Wrenka, przypomniawszy sobie nagle dziwną postać i nos grajka, wybuchła jasnym śmiechem i zawołała: «Jużci biedaczysko wygląda zbyt krotochwilnie! Cóż to za nos!» Przemiała, słonecznie promienna wesołość rozlała się po obliczu dziewczęcia, jak gdyby czyhała była jeno na chwilę, aż nos skrzypka spędzi chmurki posępne. Sali spojrzał na Wrenkę i dostrzegł tę radosność, ale ona zapomniała wnet o przyczynie onej i już tylko dla siebie samej śmiała się w twarz Saliemu. Ten, osłupiały i zdumiony, z roześmianymi ustami, zapatrzył się mimowoli na jej oczy, podobien głodnemu, który dostrzegł słodki chlebek pszenny, i zawołał: «Na Boga, Wrenusiu, jakże piękna jesteś!» Wrenka zaśmiała się do niego jeszcze bardziej, a przytem z dźwięcznego gardziółka wybuchnęła kilka krótkich swawolnych tonów roześmianych, które biednemu Saliemu wydały się nie-

inaczej, jeno śpiewem słowika. «O, ty czarodziejko!» zawołał, «gdzieżeś ty się tego nauczyła? Jakież to sztuki djabelskie uprawiasz?» — «Ach, miły Boże!» rzekła Wrenka przymilnym głosem i wzięła dłoń Saliego. «To nie są wcale sztuki djabelskie! Jakże oddawna pragnęłam choć raz się uśmieć! Jużci chwilami, gdy byłam całkiem sama, musiałam z czegoś się zaśmiać, ale właściwie nic w tem nie było, teraz zaś chciałabym ciągle i wiecznie śmiać się do ciebie, gdy cię widzę, i chciałabym tak widzieć cię wiecznie i zawsze! Czy sprzyjasz mi też choć troszkę?» — «O, Wrenusiu!» rzekł Sali i wpatrzył się ulegle i pocziwie w jej oczy, «nigdy jeszcze na żadną dziewczynę nie spojrziałem, było mi zawsze na duszy, jakżeby cię miał kiedyś umiłowac, i bez mej woli i wiedzy przecież wciąż w umyśle mi tkwiłaś!» — «I ty mnie także», rzekła Wrenka, «a to tem bardziej, bo tyś mi się nigdy nie przyglądał i nie wiedziałeś, jaka się stałam, ale ja od czasu do czasu zdaleka, a nawet skrycie i zbliżka — dobrze się tobie nieraz przyjrzałam i zawszem wiedziałam, jak ty wyglądasz! Czy pamiętasz jeszcze, jak często przychodziliśmy tutaj, będąc dziećmi? Czy pamiętasz jeszcze nasz mały wózek? Jacyż mali ludzie byliśmy wówczas i jak to już dawno! Można by myśleć, żeśmy już bardzo starzy». — «Ileż lat masz teraz?» za-

pytał Sali, ucieszony i zadowolony, «musisz mieć mniej więcej siedemnaście?» — «Siedemnaście i pół mam już!» odpowiedziała Wrenka, «a ileż ty masz? Ale, wiem już, skończysz rychło dwadzieścia?» — «Skądże to wiesz?» zapytał Sali. «Hm, gdybym chciała powiedzieć!» — «A nie chcesz?» — «Nie!» — «Stanowczo nie?» — «Nie i nie!» — «Musisz powiedzieć!» — «Chcesz-że mnie przymusić?» — «Zobaczymy!» Takie głupiutkie rozmowy prowadził Sali, by zaprzętnąć swe ręce i trapić piękną dziewczynę niezręcznymi pieśzcotami, co miały być niby karą. Ona, broniąc się, podtrzymywała z cierpliwem pobłażaniem niedorzeczną słów wymianę, która, mimo swej czczości, wydała się obojgu dowcipną i słodką, — aż rozjątrzony oporem Sali stał się dość śmiały, by opanować ręce Wrenki i wcisnąć dziewczynę w maki. Więc leżała oto i mrugała w słońcu oczami, policzki jej pały jak purpura, a przez usta wpółrozwarłe przebłyskiwały dwa rzędy zębów. Delikatnie i pięknie schodziły się ciemne brwi, a młoda pierś wznosiła się i opadała swawolnie pod wszystkimi czterema dłońmi, co splątane muskały się na niej, zwalczając wzajemnie. Sali nie wiedział już, co począć z radości, że oto widzi przed sobą to smukłe piękne stworzenie, iż wie, że ono jest jego, a zdało mu się, że posiadał

królestwo. «Masz jeszcze wszystkie swe białe ząbki?» śmiał się, «czy pamiętasz jeszcze, jak częstośmy je ongi liczyli? A umiesz teraz liczyć?» — «To nie te same, dzieciaku!» rzekła Wrenka, «tamte dawno już wypadły!» W naiwności swej Sali chciał zabawę oną wznowić błyszczące perły ząbków policzyć, ale Wrenka zawarła nagle ponsowe usteczka, wstała i zaczęła więc z anemonów wianek, który sobie na głowę włożyła. Wianek był gęsty i szeroki i nadawał śniadawej dziewczusze bajkowo pociągający wygląd, a biedny Sali trzymał w swych ramionach coś, za co ludzie bogaci drogoby zapłacili, gdyby jeno choć malowane na swych ścianach widzieć mogli. Teraz zasię dziewczyna, podskoczywszy, zawołała: «Boże, jakże tu gorąco! Toć siedziemy tu, jak niedojdy, i pozwalamy się prażyć! Chodź, mój miły! siądziem sobie w zbożu wysokiem!» Wśliznęli się tam zwinnie i pocichu, ledwie ślad znacząc, i zbudowali sobie ciasną kryjówkę między kłosami, które im wysoko ponad głowy sterczały, tak iż, siedząc tam, tylko ciemny błękit nieba ponad sobą widzieli, a pozatem nic więcej na świecie. Objąwszy się za szyję, niezwłocznie całować się poczęli i całowali się aż do chwilowego znużenia, czy jak to tam nazwiemy, gdy całowanie się dwojga kochanków na

jedną lub dwie minuty samo zatracą życie i wpo-
śród upojnego kwitnienia każe przeczować zniko-
mość wszelkiego bytu. Nad sobą słyszeli śpie-
wające wysoko skowronki i wypatrywali je swe-
mi bystremi oczami, a gdy im się zdało, iż prze-
lotnie dojrżeli którego, jak pobłyskiwał w słońcu,
na podobieństwo gwiazdy, nagle rozświeconej lub
mknącej przed się po niebie błękitnem, to całowali
się znowu w nagrodę i usiłowali ubiec się nawza-
jem w korzyściach i złudzić, ile tylko mogli.
«Patrz, tam błyska jeden!» szepnął Sali, a Wren-
ka odpowiedziała również cicho: «Słyszę go
wprawdzie, ale nie widzę!» — «Przecie, bacz je-
no, tam gdzie ten biały obłoczek stoi, trochę w pra-
wo od niego!» I oboje patrzyli tam gorliwie
i otwierali tymczasem swe dzioby, jak młode prze-
piórki w gnieździe, by niezwłocznie znów przy-
łgnąć niemi do siebie, gdy sobie wyobrażali, że
widzieli skowronka. Naraz Wrenka przestała i rzek-
ła: «Więc to jest rzecz postanowiona, iż każde z nas
posiada skarb, nie zdaje ci się tak samo?» — «Tak»,
rzekł Sali, «jużci zdaje mi się tak samo!» — «Jak-
że podoba ci się twój klejnocik», spytała Wrenka,
«co też to za rzecz, cóż masz o niej do powie-
dzenia?» «Cudna bardzo to rzecz», odpowiedział
Sali, «ma ona dwoje ciemnych oczu, ponsowe
usteczka i biega na dwóch nóżkach, ale zamysły

jej mniej-ci ja znam, niż papieża w Rzymie!
A ty co możesz o swoim skarbie powiedzieć!» —
«Ma on dwoje oczu niebieskich, usta nicpotem
i rozporządza parą silnych zuchwałych ramion,
a myśli jego są mi bardziej nieznanne, niż cesarz
turecki!» — «Jużci to prawda», rzekł Sali, «iz
mniej się znamy, niż gdybyśmy się byli nigdy nie
widzieli, tak obcymi sobie uczynił nas ten długi
przeciąg czasu, odkąd=eśmy dorośli! Co też się
działo w twojej główce, kochanie?» «Ach! nie-
wiele! Tysiące głupstewek i błazeńskich pomy-
słów rodziło się, ale zawsze wiodło mi się tak za-
łośnie i smętnie, iż nic nie mogło wykiełkować!» —
«Biedny mój skarbie!» rzekł Sali, «aleć mniemam,
że masz je pod ręką, nieprawdaż?» — «O tem mo-
żesz się z czasem dowiedzieć, jeśli mnie miłujesz
należycie!» — «Gdy kiedyś żoną moją będziesz?» —
Przy tem ostatniem słowie Wrenka zadrżała lekko
i wcisnęła się głębiej w ramiona Saliego, całując
go odnowa długo i czule. Przyczem oczy jej na-
pełniły się łzami, i oboje naraz posmutnieli, ponie-
waż stanęła przed nimi ich przyszłość, uboga
w nadzieję, oraz nieprzyjaźń rodziców. Wrenka,
westchnąwszy, rzekła: «Chodź, muszę już iść!»
Tedy podnieśli się i trzymając za ręce wyszli ze
zboża, gdy oto ujrżeli przed sobą wypatrującego
coś ojca Wrenki. Z małostkowem ostrowidz-

twem próżniaczej nędzoty, skoro napotkał Saliego, począł dłubać w swych myślach — ciekawy, czego ten, sam jeden, idzie szukać we wsi, a przypomniawszy sobie wczorajsze zajście, wpadł wkońcu, wciąż ku miastu się wlokąc, na trafny ślad, kierowany li tylko głuchym gniewem i niezaprząniętą złością, a nim podejrzenie zyskało określony kształt, już wpośród ulic seldwilskich zawrócił i znów poczłapał z miasta do wsi, gdzie córki swej i w domu, i na podwórzu, i w opłotkach wszędzie daremnie szukał. Z rosnącą ciekawością wybiegł i pognął na pole, a gdy tam zoczył porzucony kosz Wrenki, z którym ona zwykła była chodzić po warzywa, dziewczyny zasię nigdzie nie spostrzegł, wypatrywał właśnie tam i sam wokół zboża sąsiada, gdy akurat wyszły przerażone dzieci.

Stanęli jak wryci, a Marti stał też nieruchomo, błady jak chusta, i obrzucał ich złemi spojrzeniami, zaczęł straszecznie począł się miotać w gestach i zelżywościach, a w złości sięgnął jednocześnie ku młodemu chłopakowi, by go zdławić; Sali umknął na bok i rzucił się kilka kroków wstecz, przerażony dzikim widokiem człeka, ale zaraz znowu przyskoczył, gdy spostrzegł, że stary, zamiast niego, chwycił oto drżącą dziewczynę, w twarz ją uderzył, że aż czerwony wianek na ziemię zleciał,

a obwinawszy włosy jej dokoła swej ręki, powłókł ją z sobą, by dalej maltretować. Sali bez namysłu chwycił kamień i rzucił go staremu w łeb, napół w trwodze o Wrenkę, a napoły we wściekłym gniewie. Marti zatoczył się zrazu trochę, następnie padł nieprzytomnie na kupę kamieni i pociągnął za sobą Wrenkę, żałośliwie krzyczącą. Tedy Sali uwolnił jej włosy z ręki nieprzytomnego i postawił ją na nogi, zaczęł stał oto jak posąg, bez rady i bez myśli. Dziewczyna, widząc, że ojciec leży jak martwy, przesunęła dłońmi po blednącej twarzy, zatrzęsła się i rzekła: «Zabiłeś go?» Sali skinął bezdźwięcznie, a Wrenka krzyknęła: «O Boże, o miły Boże! Toć to mój ojciec! Biedny on, biedny!» od zmysłów odchodząc, przypadła ku niemu i podniosła mu głowę, z której wszelako krew wcale nie ciekła. Tedy głowie cięższej pozwoliła znowu opaść; Sali przykucnął z drugiej strony leżącego, i oboje, cisi jak groby, z opadłymi bezwładnie rękoma, wpatrywali się w oblicze, nie dające znaku życia. Aby coś jeno począc, rzekł wkońcu Sali: «Nie musi przecie zaraz umrzeć? Toć wcale jeszcze nie jest pewne!» Wrenka oderwała jeden listek anemonu i położyła go na zbiegłych wargach, zaczęł listek słabo się poruszył. «Dycha jeszcze!» zawołała, «biegaj=że do wsi i sprowadź pomoc». Gdy

Sali zerwał się do biegu, wyciągnęła za nim rękę i przywołała go z powrotem: «Nie wracaj jeno z nimi i nic nie mów, jako się stało, ja też będę milczeć, nic ze mnie nie wydobędą!» rzekła, a twarz jej, którą zwróciła ku biednemu bezradnemu chłopakowi, zalała się łzami boleści. «Chodź, pocałuj mnie raz jeszcze! Nie, idź, idź sobie! Skończyło się, na wieki się skończyło, już się nie możemy zejść!» Odepchnęła go, a on pobiegł bezwolnie ku wsi. Natknął się na jakiegoś malca, który go nie znał, temu polecił sprowadzić pierwszych z brzegu ludzi i opisał mu dokładnie, gdzie trzeba pomocy. Zaczem poszedł sobie zrozpaczony i błąkał się przez noc całą w zaroślach. Rankiem wpłynął na pola, by wypatrzyć, jak tam poszło, i od jakichś rannych ptaszków, którzy z sobą rozmawiali, usłyszał że Marti jeszcze żyje, ale nic o sobie nie wie, i jako to dziwna rzecz jest i całkiem osobliwa, bo nikt zgoła nie wie, co mu się przydarzyło. Teraz dopiero poszedł z powrotem do miasta i skrył się w mroku nędzy domowej.

*

Wrenka dotrzymała danego mu słowa; nie można było dobyć z niej pytaniami nic ponad to, że i sama znalazła ojca w tym stanie, a ponieważ ten nazajutrz znów dzielnie zaczął poruszać się

oddychać, choć jużci nie odzyskał przytomności, pozatem zaś nie było oskarżyciela, tedy przypuszczano, że po pijanemu jakoś upadł na kamienie, — i wreszcie dano pokój całej tej sprawie. Wrenka pielęgnowała ojca, nie odstępując go ani na chwilę, chyba gdy musiała pójść do doktora po lekarstwa lub też dla siebie marną jaką zupkę ugotować; bo żyła prawie niczem, chociaż przecie czuwać jej wypadało dniem i nocą, znikąd zaś nie miała wyreki. Trwało to bezmała sześć tygodni, zanim chory stopniowo odzyskał przytomność, jakkolwiek już przedtem sam jeść potrafił i dość żwawo poruszał się w łóżku. Ale nie odzyskał on już dawnej świadomości, bo im więcej mówił, okazywało się coraz wyraźniej, że zidjociał, i to w sposób najcudaczniejszy. Przypominał sobie jeno jak przez mgłę o tem, co zaszło, i jako o czemś bardzo zabawnem, co go bliżej nie dotyczy, śmiał się zawsze jak głupek i był w dobrym humorze. Jeszcze w łóżku leżąc, płodził setki bzdurnych zwrotów i pomysłów bez ładu i składu, wykrzywił twarz i czarną wełnianą szlafmycę ściągał aż na oczy i wdół poza nos, tak iż ten wyglądał, jak trumna pokryta całunem. Wrenka, blada i stroskana, przytem jego zbłaźnieniem, które biedną córkę bardziej jeszcze trwożyło, niż dawna złość; ale gdy stary

czasem palnął coś nazbyt już uciesznego, musiała wśród męki swojej zaśmiać się głośno, bo dusza jej przygnębiona zawsze była gotowa zerwać się ku radości, jak łuk napięty do strzału, — poczem tedy następowało zasmucenie tem-ci głębsze. A gdy stary mógł już wstawać, dopiero nie było nań rady; wyprawiał jedno głupstwo po drugim, śmiał się i wiercił dokoła domu, siadał w słońcu i wysadzał język albo też prawił długie mowy do bobu.

Lecz koło tego czasu nie zostało już nic i z niewielu resztek dawnego jego mienia, nieład zaś posunął się tak daleko, że również dom i ostatni kęś roli, zastawione już oddawna, teraz oto z wyroku sądowego sprzedano. Wieśniak bowiem, który już pierwej nabył dwa łany Mancowe, skorzystał z tego, że Marti zupełnie podupadł i zachorzał, i dawny zatarg o sporny kawał gruntu z kamieniami krótko a śmiało doprowadził do końca, ten zaś przegrany proces ostatecznie wybił Martiemu, jak to mówią, dno z beczki, choć on w zidjoceniu swem nic o tych sprawach nie wiedział. Odbył się przetarg; Martiego oddała gmina na koszt publiczny do zakładu dla tego rodzaju biednych dudków; zakład ten znajdował się w stolicy onego kraiku. Zdrowego i chciwego jadła obłąkańca naprzód jeszcze dobrze nakarmiono, następnie władowano go na wózek, przez woły

ciągniony, który jakiś wieśniak ubogi prowadził do miasta, aby zarazem sprzedać jeden lub dwa worki ziemniaków, — a Wrenka usiadła na furce obok ojca, chcąc go odprowadzić w tym ostatnim pochodzie do pogrzebania za życia. Smutna to i gorzka była jazda, lecz Wrenka czuwała troskliwie nad ojcem, dbając o to, by mu niczego nie brakło, i nie oglądała się ani niecierpliwiła, gdy kaprjole, jakie stroił nieszczęśliwiec, ściągały na siebie uwagę ludzi, tak iż biegli za wózkiem, gdziekolwiek się przejeżdżało. Wkońcu pochód ten dotarł do obszernego gmachu w mieście, kędy długie korytarze, podwórza i ogród wcale przyjemny zaludniało mnóstwo podobnych półgłówków, wszyscy w białych kitlach i trwałych czapeczkach skórzanych na twardych łbach. Również i Martiego jeszcze w oczach Wrenki odziano w ten strój, a on cieszył się z tego jak dziecko i, śpiewając, tańczył wokoło. «A witajcie, szanowni panowie!» wołał do swych towarzyszy, «ładny macie tu gmach! Idź już sobie, Wrenulko, i powiedz mamie, że nie wrócę wcale do domu, bo mi się tutaj, jak Boga kocham, lepiej podoba! Cha! cha! cha! Po płocie łązi sobie jeż — słyszycie, jak on szczeka! Nie całuj starych, dziewczę, nie! tylko młodego czleka! Wszystkie strumyki do rzeki płyną — ta śliwkooka jest mą dziewczyną! Odchodzisz już, Wrenuś? Doprawdy,

wyglądasz, jak śmierć w garnczku, a mnie przecie tak świetnie się dzieje! Liszka krzyczy w polu: hop, poh! serce ją boli, ach, och!» Dozorca nakazał mu spokój i zaprowadził go do jakiejś ławej roboty, Wrenka zaś poszła odszukać furkę. Usiadłszy na wozie, wyjęła kawałek chleba i jadła go; potem zdrzemnęła się, aż przyszedł wieśniak i z powrotem z nią do wsi pojechał. Przybyli tam dopiero w nocy. Wrenka poszła do domu, w którym urodziła się i gdzie oto dwa tylko dni wolno jej było zostać, a po raz pierwszy w życiu swoim mieszkała w nim teraz całkiem sama. Roznieciła ogień, żeby ugotować ostatnią resztekę kawy, jaką jeszcze miała, i usiadła na przypiecku, bo tak okropnie jej było na duszy. Tęskniła i frasowała się, oby tylko raz jedyny zobaczyć jeszcze Saliego! i z tkliwością o nim myślała, ale troski i strapienie zatruwały jej tęsknotę, która znów troski owe czyniła o wiele cięższymi. Tak siedziała i głowę wsparła na rękach, gdy nagle ktoś wszedł przez drzwi otwarte. «Sali!» zawołała Wrenka, spojrzawszy w górę, i rzuciła mu się na szyję; ale wnet oboje popatrzyli na siebie w przestrachu, wołając: «Jakże ty okropnie wyglądasz!» Sali bowiem miał wygląd niemniej błady i wychudły, niż Wrenka. Zapominając o wszystkim, pociągnęła go do siebie na przypieck i rze-

wała: «Czy byłeś chory, albo i tobie też tak źle się wiodło?» Sali odpowiedział na to: «Nie, chory przecie nie jestem, tylko — z tej tęskności za tobą! U nas to teraz bogato co się zowie, ojciec wpuszcza i ukrywa wszelaką obcą hołotę, i myślę, o ile mogłem zmiarkować, że stał się ukrywaczem złodziejskim. To też chwilowo jest wszystkiego wbród w naszej tawernie, dopóki się da i aż to się raz nie skończy tak, że strach pomyśleć. Matka pomaga w tem, z żalosnej chciwości, żeby tylko mieć coś w domu, i usiłuje całą tę zdrożność przez pewnego rodzaju dozór i porządek uczynić przyjemną i pożyteczną! Mnie o nic nie pytają, i niewiele na to mógł zważać; bo dniem i nocą o tobie jednej tylko myśleć mogę. Ponieważ zewsząd zachodzą do nas wszelakie włóczęgi, przetośmy codziennie słyszeli, co się u was dzieje, a ojciec mój cieszy się z tego, jak małe dziecko. Doszły nas słuchy i o tem, że ojca twego zabrano dzisiaj do szpitala; pomyślałem sobie, że będziesz teraz sama, i przyszedłem, by cię zobaczyć!» Teraz Wrenka pożałowała się też na wszystko, co ją nękało i co przecierpiała, ale w słowach tak lekkich i pełnych zażyłości, jakżeby wielkie jakie szczęście opisywała, — to też była w siódmym niebie, widząc Saliego przy sobie. Tymczasem zebrała jakoś od biedy misę kawy, którą mu-

siał podzielić się z nią ukochany. «A więc pojutrze jesteś zniewolona pójść sobie stąd?» ozwał się Sali, «co to będzie, na miłość Boską?» «Bo ja wiem!» rzekła Wrenka, «trzeba mi będzie służyć i pójść sobie w świat! Ale nie wytrzymam bez ciebie, jednak — co robić? — nigdy dostać ciebie nie mogę, choćby nawet wszystko inne nie stało nam w drodze, już przez to samo, żeś ojca mego uderzył i rozumu go pozbawił! To byłoby na zawsze złym zrębem naszego małżeństwa, a my oboje nigdybyśmy od tej troski nie byli wolni, nigdy!» Sali westchnął i rzekł: «I ja też sto razy już chciałem zostać żołnierzem, albo nając się za parobka gdzieś w obcych stronach, cóż — kiedy nie mogę pójść, póki ty tu jesteś, a i potem — to mnie zabije! Tak sobie myślę, iż ta niedola robi miłość moją dla ciebie jeszcze silniejszą i boleśniejszą — prawdziwie idzie już tu o śmierć lub życie! Nie miałem pojęcia o czemś podobnym!» Wrenka spojrzała na niego, uśmiechnięta miłośniczo, oparli się plecami o ścianę i nic już nie mówili, jeno w milczeniu poddali się uczuciu błogości, górującemu nad wszelkiem strapieniem, uczuciu, że zaprawdę najszczerzej sobie sprzyjają i wiedzą, że są kochani. Tak zasnęli w ukojeniu na niewygodnym tym przypiecku, bez poduszek ni wezgłowia, i spali miękko i spokojnie, niby

dzieci dwoje w jednej kołysce. Już szarzał ranek, gdy Sali ocknął się pierwszy, obudził Wrenkę tak lekko, jak tylko umiał, lecz ona, ujęta sennością, ciągle schylała się ku niemu, nie dając się ocucić ze snu. Tedy pocałował ją mocno w usta, a wówczas Wrenka zerwała się i oczy szeroko otworzyła, a ujrzawszy Saliego, zawołała: «Boże wielki! oto właśnie śniłam o tobie! Śniło mi się, żeśmy z sobą tańczyli na naszym weselu — długie, długie godziny! — a tak byliśmy szczęśliwi oboje, schludnie przystrojeni, i nie zbywało nam na niczem. Aż wkońcu chcieliśmy się pocałować, gorącośmy tego pragnęli, lecz zawsze coś nas rozłączało, a teraz ty oto sam nam przerwałeś i przeskodziłeś! Ale jak to dobrze, że już tu jesteś przy mnie!» Chciwie rzuciła mu się na szyję i całowała go bez końca, bez miary. «A cóż się tobie śniło? zapytała, głaszcząc go po twarzy i podbródku. «Śniło mi się, że idę bez kresu jakąś długą drogą przez las, a ty hen, w dali, ciągle idziesz przede mną, czasem obejrzyysz się, skiniesz i zaśmiejesz się do mnie, a wtedy czułem się jak w niebie. Oto wszystko!» Podeszli do wciąż jeszcze otwartych drzwi kuchennych, które wiodły wprost na wolne powietrze, i śmiechem wybuchli, spojrzawszy sobie w twarz. Prawy bokiem policzek Wrenki i lewy Saliego, wzajem

o siebie wsparte podczas snu, były wskutek ucisku zabarwione całkiem na czerwono, a zaś bladeść drugich ich policzków wzmógł jeszcze chłód powietrza nocnego. Z tkliwością pocierali sobie chłodną i bladą stronę swych twarzy, aby ją tak samo uczynić czerwoną; świeży wietrzyk zaranny, cisza, przepojona rosą, i spokój, co zalegał całą okolicę, i ta młoda jutrznia różowa usposobiły ich radośnie i niepamiętliwie, zwłaszcza zaś we Wrenkę, rzekłbyś, wstąpił pogodny jakiś duch beztrouski. «Zatem jutro wieczór muszę pójść sobie z tego domu», rzekła, «i poszukać innego dachu nad głową. Przedtem jednak chciałabym raz, jeden tylko raz być prawdziwie wesółą i to wraz z tobą; chciałabym tak z całego serca, ze wszystkich sił tańczyć z tobą gdzie bądź, bo tańcowanie z tego snu bezustanku tkwi mi w głowie!» «W każdym razie chcę być z tobą i zobaczyć, gdzie znajdziesz schron», rzekł Sali, «a chętnie też potańczyłbym z tobą, moja ty serdeczna dziecino! ale gdzie?» «Jutro jest kiermasz w dwóch miejscach niezbyt daleko stąd», odrzekła Wrenka «tam mniej nas znają i mniej nas też zauważą; więc nad wodą zaczekam na ciebie, a potem pójść możemy, gdzie nam się spodoba, aby zaznać wesela raz, tylko raz! Ale — ba! nie mamy przecież wcale pieniędzy!» dodała smutnie, «nic z tego nie będzie!»

«Nie bój się», rzekł Sali, «przyniosę już z sobą trochę grosiwa!» «Nie weźmiesz przecie od ojca, z tych — tam kradzieży?» «Nie, możesz być spokojna! zachowałem dotąd srebrny zegarek — sprzedam go teraz». «Nie będę ci odradzała», rzekła na to Wrenka, rumieniąc się, «bo zdaje mi się, że umarłabym chyba, jeślibym jutro z tobą nie mogła potańczyć». «Byłoby najlepiej, gdybyśmy oboje umrzeć mogli!» rzekł Sali, objęli się żałośliwie i boleśnie na pożegnanie, a kiedy już się rozstali, uśmiechnęli się jednak do siebie serdecznie, ciesząc się niepłonną nadzieją na dzień jutrzejszy. «Ale kiedyż przyjdiesz?» zawołała jeszcze Wrenka. «Najpóźniej o jedenastej przed południem», odpowiedział, «zjemy całe porządnie razem obiad!» «Dobrze, dobrze! ale przyjdź lepiej już o wpół do jedenastej!» Lecz gdy Sali już był w drodze, przywołała go jeszcze raz z powrotem, a twarz jej, nagle zmieniona, miała wyraz rozpaczliwy. «A przecież nic z tego nie będzie», rzekła, płacząc gorzkimi łzami, «nie mam wcale odświętnych bucików: już wczoraj musiałam obuć te grube trzewiki, żeby pojechać do miasta! Nie wiem, skąd wezmę buciki!» Sali stał bezradny i zbity z tropu. «Nie masz bucików!» rzekł, «no to w tych musisz pójść!» «Nie, ależ nie, w tych nie mogę tańczyć!» «Tedy musimy kupić jakieś

buciki!» «Gdzie i jak?» «No cóż, nie brak tam — w Seldwili sklepów z obuwem! Pieniądze będę miał najdalej za dwie godziny.» «Ale ja nie mogę przecież chodzić z tobą po Seldwili, pozatem nie starczy tych pieniędzy jeszcze i na buciki!» «Musi wystarczyć! kupię więc buciki i jutro je przyniosę!» «Ach, ty głuptasku, toć nie będą pasowały te, które ty kupisz!» «To daj mi jakiś stary bucik, albo nie! najlepiej — wezmę ci miarę: nie święci przecie garnki lepią!» «Weźmiesz miarę? Doprawdy, o tem nie pomyślałam! Chodź, chodź, poszukam gdzie sznurka!» Usiadła znów na przypiecku, uniosła ździebko spódniczkę i zwała trzewik ze stopy, jeszcze obleczonej od wczorajszej podróży w białą pończochę. Sali uklękła i, jako umiał, wziął miarę, obciążając sznurkiem wzdłuż i wszerz zgrabną jej stopę i starannie zawiązując w nim supełki. «Szewczyku ty!» żartowała Wrenka i, zarumieniona, śmiała się do niego przyjaźnie z góry. Lecz i Sali oblał się rumieńcem i stopkę mocno trzymał w dłoniach dłużej, niż było trzeba, tak iż Wrenka, jeszcze mocniej piekąc raka, cofnęła ją sama, oszołomionego zaś Saliego raz jeszcze gwałtownie objęła za szyję i ucałowała, poczem musiał już ruszyć w drogę.

Przybywszy do miasta, zaniósł wnet zegarek do zegarmistrza, który dał mu za niego sześć czy

siedem guldenów, za srebrny łańcuszek otrzymał również kilka guldenów, i widziało mu się, że jest oto dość bogaty, gdyż odkąd podrósł, nie miał nigdy naraz tyle pieniędzy. Obyż tylko, myślał sobie, dzień rychło przeminął i nastąpiła niedziela, a wtedy zakupi za to szczęścia, jakie sobie na ten dzień zapowiadał, jeśli bowiem pojutrze wdzierało się tem mroczniej i bardziej zagadkowo, upragniona uciecha jutrzejsza zyskiwała tem osobliwszy a spotęgowany blask i świetność. Z tem wszystkim jeszcze jako tako spędził ten czas, szukając dla Wrenki pary bucików, a było to dlań najmilsze zajęcie, jakim się kiedykolwiek zaprzętał. Szedł od jednego szewca do drugiego i kazał sobie pokazywać wszelkie damskie buciki, jakie były na składzie, aż wreszcie zakupił lekką i cieniutką parę bucików, tak śliczną, jakiej Wrenka nigdy jeszcze nie nosiła. Ukrył je pod kamizelką i przez resztę dnia z niemi się nie rozstawał, wziął je nawet z sobą do łóżka i schował pod poduszkę. Ponieważ dziś rano jeszcze widział swą dziewczynę, a jutro miał ją znów zobaczyć, przeto spał mocno i spokojnie, lecz o bardzo wczesnej godzinie roztrzeźwił się ze snu i zabrał się do porządkowania i czyszczenia swego ubożego stroju od święta, o ile się to zrobić dało. Zwróciło to uwagę matki i spytała go zdziwiona, co zamierza, ja-

ko że dawno już nie był tak starannie odziany. Odpowiedział, że chce raz powędrować sobie tu i tam i trochę jakoś rozejrzeć się po świecie, bo inaczej rozchoruje się chyba w tym domu. «Bo też i dotąd dziwne jakieś to życie», mruknął ojciec, «i jeszcze wałęsanie się jakieś!» «Niech sobie idzie», rzekła matka, «może mu to dobrze zrobi, toć to litość bierze patrzeć, jak on wygląda!» «A masz pieniądze na ten spacer? skąd je wzięłeś?» zapytał stary. «Nie potrzeba mi pieniędzy!» rzekł Sali. «Masz tu guldena!» odrzekł na to ojciec i rzucił mu pieniądź. «Możesz na wsi wstąpić do gospody i tam go przepuścić, żeby nie myślano, że tutaj z nami tak źle». «Na wieś nie idę i guldena mi nie potrzeba, zatrzymajcie go sobie!» «Chcesz — dobrze, nie chcesz — ano, to jeszcze lepiej, ty uparta głowo!» zawołał stary i wsunął swego guldena z powrotem do kieszeni. Ale żona jego, która nie wiedziała, czemu syn budzi w niej dzisiaj taką żalność i wzruszenie, przyniosła mu wielką medjolańską chustę na szyję, czarną z czerwonym brzeżkiem, co ją sama rzadko kiedy nosiła, on zaś już dawniej bardzo mieć pragnął. Owinął ją sobie dokoła szyi, a długie końce puścił wolno, by se latały, także po raz to pierwszy — kołnierzy od koszuli, który dotychczas zawsze nosił wykładany, uczciwie i po męsku postawił do góry, aż

powyżej uszu, w przystępie jakiejś dumy wieśniaczej; zaczęł już po godzinie siódmej, z bucikami ukrytymi w zanadrzu, ruszył w drogę. Gdy opuścił izbę, dziwne jakieś uczucie kazało mu podać rękę ojcu i matce, a znalazłszy się na ulicy, jeszcze raz się ku domowi obejrzał. «Gotówbym mniemać», rzekł Manc, «że chłopak włóczy się za jakąś dziewczuchą, tegoby nam tylko jeszcze brakowało!» Na to powiedziała żona: «O, dałby Bóg, żeby go jakie szczęście spotkało! przydałoby się to biednemu chłopcu!» «Pewnie, pewnie!» rzekł mąż, «bez ochyby! będzie w siódmym niebie — niech tylko ma nieszczęście wpaść w ręce takiego babska pyskatego! toby się przydało biednemu chłopczyni! naturalnie!»

Sali skierował swe kroki najpierw ku rzece, gdzie miał czekać na Wrenkę; w drodze wszelako zmienił zamiar i udał się wprost w stronę wsi, by wstąpić po Wrenkę do samego domu, gdyż wydało mu się za długo czekać aż do wpół do jedenastej. «Co nas ludzie mogą obchodzić!» pomyślał, «znikąd nie mamy pomocy, a jestem przecie uczciwy i nikogo się nie boję!» Tedy niespodzianie zjawił się w izbie Wrenki, i równie niespodzianie zastał ją zupełnie już odzianą i wystrojoną, jak oto siedziała, wyglądając chwili, gdy będzie mogła pójść, a brak jej było jeszcze tylko bucików. Lecz Sali

z otwartymi ustami przystanął na środku pokoju, zobaczywszy dziewczeczkę, — bo tak cudnie wyglądała. Miała na sobie jeno prostą sukienkę płócienną koloru niebieskiego, ale świeżutką i schludną, a leżącą bardzo dobrze na wysmukłym jej ciele. Na to zarzuciła śnieżnie-białą chustę muslinową, i to był cały jej przyodziewek. Ciemny kędzierzawy włos starannie miała przyczesany, a loczki, zazwyczaj rozrzucone w bezładzie, leżały teraz wybrednie a ujmująco wokół jej głowy; ponieważ Wrenka od wielu tygodni prawie że nie wychodziła z domu, jako też ze zgryzoty, cera jej stała się delikatniejsza i bardziej przejrzysta, lecz w tę przejrzystość lały oto miłość i radość raz po raz świeżą krasę, — na piersiach zaś nosiła ona piękną różniankę rozmarynu, róż i astrów wspinających. Siedziała przy otwartym oknie, wdychając cicho i błogo świeże a rozśoneczone powietrze tego ranka; ale ujrawszy przed sobą Salięgo, wyciągnęła do niego obie kształtne ręce, od łokcia nagie, i zawołała: «Jakże dobrze zrobiłeś, żeś już teraz przyszedł i tutaj! Ale czy przyniosłeś mi buciki? Naprawdę? Otóż nie wstanę, dopóki ich nie będę miała na nogach!» Wydobył z kieszeni upragnione te buciki i podał rwącej się do nich pięknej dziewczynie; cisnęła precz stare i w te nowe się wśliznęła, a przystawały jej w sam raz.

Teraz dopiero powstała z krzesła, kotysała się w nowych bucikach i z wielką gorliwością przeszła się kilkakrotnie po izbie, tam i napowrót. Odgarnęła nieco wtył długą niebieską spódniczkę i spoglądała z lubością na czerwone kokardy wełniane, zdobiące jej buciki, a wśród tego Sali bezustanku wpatrywał się w jej delikatną, powabną postać, która w słodkim podnieceniu poruszała się przed nim radośnie. «Oglądasz różniankę moją?» zapytała Wrenka, «prawda, że ładnie ją ułożyłam? Otóż wiedz, że to ostatnie kwiaty, które jeszcze odnalazłam w tem pustkowiu. Tu była jeszcze różyczka, tam znów aster, a kiedy oto są związane, ani znać po nich, że zebrano je z resztek dawnego dostatku! No tak, czas mi już odejść stąd, ani kwiateczka niema w ogrodzie, a i dom świeci pustką!» Sali obejrzał się dokoła i teraz dopiero zobaczył, że wszystkie ruchomości, co tu jeszcze były, już pozabierano. «Wrenulko ty moja biedna!» rzekł, «więc wszystko ci już wzięli?» «Wczoraj», odpowiedziała ona, «wynieśli stąd to, co się z miejsca ruszyć dało, i zaledwo mi łóżko zostawili. Ale je natychmiast sprzedawałam, i teraz mam także pieniądze, patrz!» Wyjęła z kieszeni sukienki kilka nowych, błyszczących talarów i pokazała je Saliemu. «Z tem», ciągnęła dalej, «powiedział starosta sierocy, który też tu był, mam

poszukać sobie służby w mieście któremś, i mam zaraz dzisiaj ruszyć w drogę!» «Ależ tu nic a nic już niema», rzekł Sali, zajrząwszy ciekawie do kuchni, «nie widać ani dreveczka, ni panewki, ni noża! Czy więc nic nie jadłaś na śniadanie?» «Nic!» rzekła Wrenka, «mogłam była przynieść sobie coś do jedzenia, pomyślałam jednak, że wolę zostać głodna, abym jak najwięcej mogła jeść razem z tobą, bo tak bardzo cieszę się z tego, nie uwierzysz, jak się cieszę!» «Gdybym tylko mógł cię dotknąć», rzekł Sali, «pokazałbym ci, jak mi jest na sercu, ty moja ślicznotko!» «Masz słuszność, zniszczyłybyś mi cały ten strój, a jeżeli będziemy trochę szanowali te kwiaty, wyjdzie to zarazem na dobre biednej mojej głowie, którą musisz zawsze rozczochrać mi okropnie!» «To chodź, teraz już wyruszmy!» «Musimy jeszcze zjechać, aż zabiorą łóżko; bo potem zamknę ten pusty dom, by już tu nie powrócić! Zawiniątko swoje dam do przechowania kobiecie, co kupiła łóżko». Usiedli więc jedno naprzeciw drugiego i czekali, niebawem nadeszła wieśniaczka owa, krępa kobieta o krzykliwej gębie, a z nią był chłopak, który miał nieść łóżko. Zobaczywszy lubego Wrenki i samą dziewczynę wystrojoną, kobieta owa otworzyła szeroko i usta i oczy, wzięła się pod boki i tak krzyczała: «A patrzcie ino, Wrenuska! Ju-

żeś się dobrze urządziła! Masz gościa, a odziana jesteś jak księżniczka!» «Nieprawdaż?» rzekła Wrenka, śmiejąc się przyjaźnie, «a wiecie też, kto to taki?» «Ba, widzi mi się, że to chyba Sali Manc? Góra z górą się nie zejdzie, powiadają, ale człowiek z człowiekiem! Ale miej się na baczności, dziecko, i pomnij, jak to poszło rodzicom waszym!» «Eh, to się teraz odmieniło, i wszystko znów jest dobrze», odparła, uśmiechając się, Wrenka, jakby ochocza do wynurzeń, ba! niemal uprzedzając grzeczna, «wyobraźcie sobie, Sali to mój narzeczony!» Twój narzeczony! co też ty gadasz?» «No tak, a jest to pan bardzo bogaty, bo wygrał na loterji sto tysięcy guldenów! Pomyślcie tylko, kobieto!» Ta aż podskoczyła i w ręce klasnęła całkiem przerażona, krzyząc: «Sto ty... — sto tysięcy guldenów!» «Sto tysięcy guldenów!» z całą powagą upewniała ją Wrenka. «O, Boże mój, Boże! Toż to chyba nieprawda, okłamujesz mnie, dziecko!» «Ha, nie chcecie wierzyć, to nie!» «Ale jeżeli to prawda, i ty za niego wychodzisz, to co zrobicie z onemi pieniędzmi? Chcesz naprawdę zostać wielką panią?» «Rozumie się, za trzy tygodnie obchodzimy wesele!» «Prześtań już, kłamiesz jak najęta!» «Zakupił on już w Seldwili najpiękniejszy dom z wielkim ogrodem i winnicą; musisz mnie też odwiedzić, jak będziemy już urzą-

dzeni, liczę na to!» «A przyjdę właśnie, czarowniczko ty skończona!» «Zobaczycie, jak tam cudnie! Zrobię doskonałą kawę i poczęstuję was świetnym jajecznikiem, masłem i miodem!» «O, ty szelmutko, licz na to, że przyjdę!» zawołała kobieta, a twarz miała pożądliwą i łykała ślinę. «A jak wstąpicie do mnie w południe, zmęczycie się na targu, zawsze będzie dla was stał w pogotowiu tęgi rosół i szklanka wina!» «O, to pokrzepi mnie rzetelnie!» «A i cukiereczków i białych bułeczek dla miłych dzieci w domu też wam u mnie z pewnością nie zbraknie!» «Taką już mam okrutną oskomę na to wszystko!» «Także ładna chusteczka na szyję, albo reszteczka jedwabiu, albo śliczna stara wstążka do spódnic waszych, albo sztuczka jakiejś materji na nowy fartuch z pewnością tak samo się znajdzie, jak przeglądniemy moje kufry i komody w godzinie jakiej sposobnej!» Kobieta zakręciła się na piętach i porządkowała swemi spódnicami, wykrzykując radośnie. «A jakby waszemu mężowi trafiał się jakiś korzystny interes przy handlu ziemią lub bydłem, a pieniędzy=by mu zabrakło, wiecie chyba, dokąd można zapukać. Kochany mój Sali zawsze rad będzie ulokować część swej gotowizny w interesie pewnym i sympatycznym! Ja sama też chyba mieć będę jakieś grosze uciufane, żeby w ra-

zie czego przyjsć z pomocą bliskiej przyjaciółce!» Teraz kobieta do reszty już zgłupiała i rzekła wzruszona: «Mówiłam ja to zawdy, że z ciebie dziecko prawe i piękne! Oby ci Pan Bóg dał największą pomyślność — zawsze i na wieki i pobłogosławił ci za wszystko, co robisz dla mnie!» «Ale zato i ja też wymagam od was szczerzej zyczliwości!» «No, i śmiało możesz tego wymagać!» «I tego, byście każdego czasu swój towar, czy to będą owoce, czy ziemniaki, czy też warzywa, najpierw do mnie przynosili na sprzedaż, nim pójdziecie z tem na targ, — abym była pewna, że mam pod ręką wieśniaczkę rzetelną, na którą mogę liczyć! Co ktokolwiek inny da za towar, to napewno dam i ja z największą przyjemnością — toć mnie znacie nie od dzisiaj! Ach, niema doprawdy nic piękniejszego, jak kiedy majątą mieszczankę, która bezradnie siedzi zamknięta w murach, a przecież tak wielu potrzebuje rzeczy, łączy szczerą i trwałą przyjaźń z porządną, uczciwą wieśniaczką, co ma doświadczenie we wszystkim ważnem i pożytecznem! Wychodzi to ludziom na dobre w setkach przypadków, w radości i cierpieniu, przy kumowaniu się i weselach, gdy się dzieci do szkół posyła lub je konfirmuje, gdy one wstępują do terminu lub wyruszają na obczyznę w świat! Przy nieurodzaju

i powodzi, przy pożarach i gradobiciu, od czego niech nas Bóg zachowa!» «Od czego niech nas Bóg zachowa!» powtórzyła, szlochając, poczciwa kobieta i fartuchem otarła z łez oczy, «jaka z ciebie roztropna narzeczona — prawdziwie z olejem w głowie! O, tobie będzie się cudownie powodziło — chybaby sprawiedliwości nijakiej nie było na świecie! Jesteś piękna, schludna, roztropna i mądra, a przytem pracowita i zręczna do wszystkiego! Ani jedna w całej wsi i poza nią nie jest delikatniejsza i lepsza od ciebie, a ten, kto cię pojmie za żonę, musi mniemać, że dostał się do nieba, albo jest zwyczajnym hultajem, i ja się z nim rozprawię! Słuchaj, Sali, żebyś tylko był grzeczny dla mojej Wrenusi, bo inaczej pokażę ci ja, co to znaczy! ty szczęśliwce, któremu los daje uszczknąć taką różyczkę!» «A zabieracie jeszcze z sobą to moje zawiniątko, jakieście mi przyrzekli, aż kogo przyśle po nie! Może jednak sama przyjadę kareta, aby to zabrać, jeżeli nie macie nic przeciwko temu! Chyba mi wtedy nie odmówicie garnuszka mleka, a dobry jakiś do tego torcik migdałowy sama już przywiozę!» «O, ty setna dziewczeczko, dajże to zawiniątko!» Wrenka wpakowała jej na węzeł z pościelą, który chłopka trzymała już na głowie, podłużny worek, zapchany rupieciami i resztką dobytku, tak iż biedna

kobieta stała tam z chwiejącą się istną wieżą na głowie. «Będzie mi chyba troszkę za ciężko tak naraz», rzekła, «czybym nie mogła na dwie zmiany to zabrać?» «Nie, nie! musimy w tej chwili stąd odejść, gdyż przed nami daleka droga: chcemy odwiedzić bogatych krewnych, którzy pokazali się teraz dopiero, odkąd jesteśmy bogaci! Toć wam wiadomo, jak to się dzieje!» «O, wiem doskonale! niechże cię Bóg strzeże, a pamiętaj o mnie wśród swej wspaniałości!»

Wieśniaczka oddaliła się ze swą wieżą z tłumoków, z trudem zachowując równowagę, a za nią szedł jej parobeczek, który wlaźł w środek łóżka Wrenki, niegdyś na pstro pomalowanego, głowę oparł o jego baldach, pokryty wyblakłymi gwiazdami, i niby drugi Samson, chwycił dwie przednie kolumny, ozdobnie rzeźbane, które baldachów dźwigały. Gdy Wrenka, wsparta o Saliego, spoglądając za tym orszakiem, widziała wśród ogrodów oną posuwającą się świątynię, odezwała się w te słowa: «Mógłby jeszcze z tego być ładny domek ogrodowy lub altanka, gdyby to umieścić w jakim ogrodzie, do środka wstawić stolik i ławeczkę i powoje zasiać wokoło! Chciałbyś tam siedzieć ze mną, Sali?» «Tak, Wrenulu! zwłaszcza, kiedyby powoje urosły!» «Pocóż tu jeszcze stoimy?» rzekła Wrenka, «nic już nas teraz nie

trzyma!» «To chodź i zamknij dom! A komu oddasz klucz?» Wrenka rozejrzała się. «Zawiesimy go na tej tu halabardzie, nieraz słyszałam, jak ojciec powiadał, że jest ona w tym domu zgórą sto lat, otóż teraz stoi tu jako stróż ostatni!» Powiesili zardzewiały klucz na jakimś zardzewiałym zakrętasiu starej zbroi, po której wiła się fasola, i odeszli. Lecz Wrenka zbladła i na chwilę zakryła oczy, tak iż Sali musiał ją prowadzić, aż byli oddaleni o jakiś tuzin kroków. Wszelako nie obejrzała się za siebie. «Dokąd więc najpierw pójdziemy?» zapytała. «Przejdziemy się porządnie», odpowiedział Sali, «śród pól, łąk i lasów, gdziekolwiek tylko nam będzie lubować przez cały dzień, nie kwapiąc się nadto, a koło wieczora znajdziemy już gdzieś miejsce, gdzie tańczą!» «Zgoda!» rzekła Wrenka, «cały dzień spędzimy razem i będziemy szli to tu, to tam — dokąd ochota. Ale teraz czuję się słabo, więc zaraz w najbliższej wsi napijemy się kawy!» «Jużci!» rzekł on, «byliśmy tylko z tej wsi się wydostali!»

Niebawem byli też w szczerem polu i cicho obok siebie szli przez niwy, nastał piękny wrześniowy ranek niedzielny, na niebie nie znalazłbyś najlżejszej chmurki, wzgórze i lasy oblekła wonna jakaś, delikatna zasłona, która czyniła okolicę bardziej tajemniczą i uroczystą, a z wszystkich stron

nadpływały dźwięki dzwonów kościelnych, tu — harmonijne, głębokie brzmienie z miejscowości jakiejś bogatej, owdzie — szczebiotliwe piski dwóch dzwonek z ubogiej wioszczyzny. Zakochanej parze wyszło z pamięci, co ma nastąpić w końcu tego dnia, oddana zaś była jedynie owej podnoszącej pierś, bezsłownej radości, że oto, schludnie odziani i wolni, jak dwoje szczęśliwych, którzy z prawa do siebie należą, idą przed się, by użyć niedzieli. Każdy ton, przebrzmiewający w tej ciszy niedzielnej, lub nawoływanie dalekie — dźwięczały w nich, wstrząsając ich dusze, bo miłość jest dzwonem, który odbija w sobie rzeczy najdalsze i najobojętniejsze i zamienia je na muzykę osobliwą. Choć byli głodni, półgodzinna droga do najbliższej wioski wydała im się zajęczym skokiem, a ociągając się przestąpili próg gospody u wejścia do wsi. Sali zamówił dobre śniadanie, a podczas gdy je przyrządzało, obzierał się cichutko po wytrawnem a tak miłym gospodarstwie w przestronnej, czystej izbie gospodniej. Gospodarz był zarazem piekarzem, to też woń świeżego pieczywa rozlana była po całym domu, a chleby różnego rodzaju wnoszono pełnemi koszami, jako że ludzie po skończonem nabożeństwie wstępowali tutaj po bułki lub na przedobiedni kufelek piwa. Gospodyni, kobieta

uprzejma i schludnie odziana, przystrajała dzieci spokojnie i łagodnie, a jak tylko jedno puściła, przybiegało z ufnością do Wrenki, pokazując jej wspaniałości swoje i opowiadając o wszystkim, z czego było rade i dumne. Gdy wreszcie podano wonną, mocną kawę, nadobna parka nieśmiało zasiadła do stołu, jak gdyby była tutaj zaproszona w goście. Rychło się jednak ożywili i szeptali z sobą skromnie, lecz pełni szczęśliwości, ach, jakże Wrence, zakwitającej rumieńcem, smakowała świetna kawa, tłusta śmietanka, świeże i ciepłe jeszcze bułeczki, śliczne masło i miód, jajecznik i jakie tam jeszcze były przysmaki! a smakowały jej, bo spoglądała przytem na Saliego, a jadła z taką ochotą, jakby po całorocznym była poście. Przytem sprawiała jej przyjemność wybredne naczynia, srebrne łyżeczki do kawy; gospodyni bowiem uważała ich, jak widać, za rzetelną, młodą parkę z dobrego domu, którą wypada obsłużyć przyzwoicie, i co pewien czas przysiadła się, by zagadać do nich, a oboje roztropnie udzielali jej wszelkich wyjaśnień, co jej się bardzo podobało. Wrence naszej było tak cudownie na duszy, że sama nie wiedziała, czy woli już wyjść stąd na świeże powietrze, aby z lubym pobujać sobie przez błonia i lasy, czy też woli pozostać w tej gościnnej izbie, iżby na parę bodaj godzin w miej-

scu takim zamożnym i statecznym śnić, że jest w domu. Lecz Sali ułatwił jej wybór, przypominając godnie i z miną zaaferowaną, że czas już na nich, tak jakby mieli przed sobą drogę jakąś określoną i nader ważną. Gospodyni wraz z gospodarzem odprowadzili ich aż przed dom i pożegnali w sposób jak najzyczliwszy, ujęci ich dobrem zachowywaniem się mimo przeświecającego ubóstwa, a biedne te młodolatki rozstały się z nimi najukładniej w świecie, idąc sobie dalej obyczajnie i z godnością. Lecz i wtedy, gdy już znaleźli się znów na łonie przyrody i zapuścili się w omal że nieprzebyty las dębowy, w ten sam jeszcze sposób szli obok siebie, w przyjemnych zatopieni marzeniach, jakżeby przybywali nie z domów zeszyłych na marne, pełnych swarów i nędzy wszelakiej, tylko jakby pocziwych rodziców byli dziećmi i najmilsza upajała ich nadzieja. Wrenka w zadumie głębokiej zwiesiła główkę na pierś, przystrojoną w kwiaty, i z rękoma, starannie spuszczonemi na odzież, szła przed się po gładkiej, wilgotnej ziemi leśnej; natomiast Sali kroczył, smukły i wyprostowany, szybko i w zamysleniu, z oczyma utkwionemi w mocne pnie dębowe, — jak wieśniak, rozważający sobie, które drzewa najkorzystniej mu będzie ściąć toporem. Wkońcu ocknęli się z tych daremnych marzeń,

spojrzeli na siebie i spostrzegli się, że wciąż jeszcze chodzą w tej samej postawie, w jakiej opuścili gospodę, zarumienili się i smutnie zwiesili głowy. Ale w młodości — nic prócz płocności: las był zielony, niebo błękitne, a oni — sami na tym rozległym świecie, i oto wnet oddali się znowuż temu uczuciu. Niedługo wszakże pozostali sami, gdyż piękną drogę leśną ożywiły wnet grupy spacerujących młodych ludzi, a również pojedyncze pary, które po kościele spędzały czas na baraszkowaniu i śpiewach. — Albowiem wieśniacy mają tak samo wymyślne swoje promenady i parki, jak i mieszczuchy, z tą jedynie różnicą, że nie ciągną one za sobą kosztów utrzymania, a jeszcze są piękniejsze; nie tylko spacerują z szczególnem upodobaniem w niedzielę po swych polach rozkwitłych i dojrzewających, ale odbywają też wcale wybredne przechadzki po gajach i zaroślach i wzdłuż zboczy zielonych, siadają tu na powabnej wyżynie, otwierającej widok w dał, owdzie — na skraju lasu, zaśpiewają pieśni i poddadzą się całkiem błogiemu oddziaływaniu pięknego pustkowie, że zaś, oczywiście, nie czynią tego za pokutę, lecz dla przyjemności, więc chyba przyjąć wolno, iż mają odczucie przyrody, pominawszy już jej użyteczność. Zawsze uszczkną coś zielonego, młodzi chłopacy równie jak babcie stare,

szukające dawnych dróg młodości, a nawet sztywni panowie gospodarze w latach najlepszych do robienia interesów, idąc wśród przyrody, chętnie odetną sobie jaki pręcik wysmukły, niech im tylko droga przez las wypadnie, i oberwą liście, zostawiając samą tylko kiść zieloną. Różdżkę taką niosą potem przed sobą niby berło; gdy wejdą do biura jakiego lub kancelarji, stawiają z uszanowaniem pręt do kącika, lecz nawet po najważniejszych roztrząsaniach nie zapominają nigdy baczenie zabrać go z sobą i w stanie nieuszkodzonym zanieść do domu, gdzie dopiero najmłodszemu synaczkowi wolno ostatecznie go zniszczyć. — Widząc tych licznych spacerowiczów, Sali i Wrenka śmiali się ukradkiem i byli radzi, że i oni tworzą parkę, wymknęli się jednak w bok, na węższe ścieżki leśne, gubiąc się w samotności głębokiej. Zatrzymywali się, gdzie im lubowało, śpieszyli naprzód i znów spoczywali, a jak na niebie czystem nie było chmurki, tak też wciąż tych godzin troska żadna nie mąciła ich dusz; zapomnieli, skąd przyszli i dokąd dążyli, zachowując się przytem tak delikatnie i porządnie, że mimo całego radosnego wzruszenia i podniecenia, ładniutkie choć proste wystrojenie Wrenki pozostało tak świeże i nietknięte, jakie było z samego rana. Sali sprawował się w tej drodze nie jak bezmała dwudzie-

stoletni młodziak wiejski lub syn podupadłego szynkarza, lecz jak gdyby o kilka lat był młodszy i nader staranne odebrał wychowanie, — a było to niemal że zabawne, jak on ciągle jeno spozierał na radosną swoją, nadobną tę Wrenkę, pełen tkliwości, troski i oraz czci dla niej. Bo też biedactwom onym wypadło w tym jednym dniu, który im był użyczony, przeżyć wszystkie przejawy i nastroje miłosne i zarówno odrobić stracone dni z okresu czułości, jako też wyprzedzić namiętny kres przez oddanie życia.

Tedy byli znów w ciągłym ruchu dopóty, aż uczuli głód i ucieszyli się, widząc z wysokości cienistego wzgórza wioskę, skąpaną w blasku, w której też postanowili zjeść obiad. Szybko zstąpili wdół, weszli zaś do tej miejscowości równie skromnie, jak opuścili poprzednią. Po drodze nie spotkali nikogo, ktoby ich poznał, gdyż zwłaszcza Wrenka wciąż ostatnich lat nie pokazywała się wcale między ludźmi, cóż dopiero — w obcych wioskach. To też sprawiali wrażenie przykładnej parki, która udaje się dokądś w pilnej sprawie. Weszli do pierwszej napotkanej gospody, gdzie Sali zamówił dostatni obiad, nakryto dla nich po niedzielnemu osobny stół, a oni znów siedzieli za nim cicho i skromnie, oglądając gustowną buazerję ścienną z woskowanego drzewa orzechowego,

wiejski lecz świetny i obficie zaopatrzony bufet z tegoż samego drzewa oraz czyściutkie białe firanki u okien. Usłużna gospodyni podeszła do nich i postawiła na stole wazonik pełen świeżych kwiatów. «Nim podadzą zupę», rzekła, «możecie, jeśli łaska, tymczasem nasycić oczy tą równianką. Według wszelkiego pozorów, o ile wolno zapytać, jesteście młodą parą narzeczeńską, idącą do miasta napewno, aby jutro pobrać się z sobą?» Wrenka spiekła raka i nie śmiała podnieść oczu, Sali tak samo nic nie odpowiedział, gospodyni zaś ciągnęła dalej: «No więc, jeszczeście wprowadzie oboje chyba młodzi, ale kto wczas się pobiera, niemłodo umiera, powiadają niekiedy, a wy przynajmniej wyglądacie jakoś dorodnie i uczciwie i kryć się nie macie potrzeby. Porządni ludzie mogą niemało dokonać, gdy zeszli się tak młodo, a są pilni i wiernie sobie oddani. Ale tem jużci trzeba być, boć czas jest krótki, a przecie też długi, i przychodzi wiele dni, tak, dni wiele! No cóż, dosyć są ładne i przytem ucieszne, o ile się nie mi dobrze gospodaruje! Proszę się nie gniewać, ale miło mi patrzeć na was, tak śliczną naprawdę jesteście parką!» Kelnerka przyniosła zupę, a ponieważ zasłyszała część tych słów i raczejby sama wyszła zamąż, więc spojrzała z ukosa na Wrenkę, której, jak mniemała, wiedzie się tak po-

myślnie. W izbie tuż obok niemiła ta osoba dała upust swej niechęci i do gospodyni, czemś tam zajętej, odezwała się tak głośno, by można było dosłyszeć: «Oto znowu taka tam hołotka, co to z tem tylko, co ma na sobie, w te pędy leci do miasta i każe związać się stułą, bez grosza przy duszy, bez przyjaciół, bez posagu i bez żadnych widoków, chyba — na nędzę i żebranie! Do czegoż to jeszcze dojdzie, jak zamaż będą szły takie sroki, co to na się kiecki same nie wdzieją, ani zupy ugotować nie potrafią? Ach, ten przy stojny młody człowiek litość we mnie budzi — ładnie on się przypieczetował młodą swoją smarkulińską!» «Tsss! zamilknij już, złośliwy gadzie!» rzekła gospodyni, «tym nie pozwolę krzywdy zrobić! To z pewnością dwoje całkiem porządnych ludzieńków — tam z gór, gdzie są fabryki, ubogo są odziani, ale schludnie, a jeśli się tylko lubią i są pracowici, zajdą dalej, niż ty ze swą złą gębą! Jużci, że długo ci przyjdzie czekać, aż cię kto weźmie, jeżeli nie nauczysz się większej uprzejmości, jędzო ty zatracona!»

Tak-to więc przeżyła Wrenka wszelkie rozkosze narzeczonej, jadącej do ślubu: życzliwą przemowę i zachętę ze strony niewiasty bardzo rozumnej, zawiść złej osoby, chętnej do zamażpójścia, a która ze złości cudzego chłopca chwaliła

i żałowała, wreszcie — smakowitą ucztę obiednią przy boku tego właśnie ukochanego. Twarz jej płonęła niczem goździk czerwony, serce biło jej w piersi, niemniej jednak jadła i piła z najlepszym apetytem, a wobec usługującej im kelnerki była tem grzeczniejsza, nie mogła się tylko od tego powstrzymać, aby przytem czule spoglądać na Saliego i z nim sobie poszczebiotać, tak iż mu się jakoś tak osobliwie zrobiło na duszy. Z tem wszystkiem długo i wygodnie siedzieli przy stole, jakby ociągali się i trwożyli wyjść z tej czarownej uludy. Gospodyni przyniosła na wety słodkiego pieczywa, Sali zaś zamówił lepszego i mocniejszego wina, które Wrence ogniem przebiegło po żyłach, gdy trochę z niego wypija, lecz miała się na baczności, jeno czasem chlipnęła po kropelce, siedząc tak skromnie i wstydliwie, jak prawdziwa narzeczona. Napoły grała tę rolę z filuterji i z chętki spróbowania, jak to smakuje, napoły zaś w istocie tak się czuła, a z tęskności i gorącego kochania serce jej się ścisnęło, tak iż za ciasno jej się zrobiło w czterech ścianach pokoju i zapragnęła pójść dalej. Jakby lękali się być w drodze znów tak na uboczu i sami, gdyż, nie umawiając się, poszli przed się wielkim gościńcem, wśród ludzi, i nie oglądali się ani na prawo, ani na lewo. Gdy wszelako znaleźli się już poza wsią, zbliżali się zaś do

następnej, gdzie obchodzono kiermasz, Wrenka zawisła na ramieniu Saliego, szepcząc drżącemi słowy: «Sali, i czemuż nie mamy siebie posiadać i być szczęśliwi!» «I ja też nie wiem, czemu!» odrzekł on i wlepił oczy w łagodne światło słońca jesiennego, snujące się po błoniach, a siłą woli opanował wzruszenie, i twarz mu się przytem jakoś dziwnie skrzywiła. Przystanęli, chcąc się pocałować, lecz pokazali się ludzie, więc wypadło tego zaniechać i ruszyć dalej. W wielkiej wsi kościelnej, w której odbywał się kiermasz, rojno już było i lud bawił się ochoczo, z okazałej gospody dolatywały pompatyczne tony muzyki tańecznej, bo młodzież wiejska już koło południa puściła się w tany, — na placu zaś przed gospodą rozłożono mały jarmarczek, składający się z kilku stołów, pokrytych słodyczami i pieczywem, oraz paru szop z cackami i błyskotkami, wokół których tłoczyły się dzieci i ów ludek, co to poprzestawał tymczasem głównie na przyglądaniu się temu wszystkiemu. Sali i Wrenka również podeszli do onych wspaniałości i oczyma po nich przefrunęli, oboje trzymali równocześnie ręce w kieszeniach, a każde z nich pragnęło drugiemu coś podarować, gdy oto po raz pierwszy i jedyny byli z sobą razem na targu. Sali nabył wielki dom piernikowy, mile na biało polukrowany, na zielonym dachu

jego siedziały białe gołąbki, a z komina wyglądał amerek, jako kominiarz, w otwartych oknach obejmowały się puciołowate osóbkki o malusieńkich czerwonych usteczkach, całując się w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, albowiem malarz, człek prędki a praktyczny, jednym kleksikiem poznaczal naraz dwoje usteczek, które w ten sposób zlewały się z sobą. Czarne punkciki wyobrażały żwawe oczki. Na różowych zaś drzwiach wejściowych widniały te oto wiersze:

— Do domku mego, luba,
Wstąp, nie bój się pokusy!
Lecz wiedz, że tu się wszystko
Oblicza na całusy.

A luba rzekła: «Luby,
Niczego się nie boję!
Już wszystko-m rozważyła:
Li w tobie szczęście moje!

A gdy pomyślę dobrze,
To przyszłam właśnie poto!»
— Więc... co obyczaj każe,
Wejdz spełnić, moje złoto!

Jakiś pan w niebieskim fraku oraz dama z nadwysokim biustem komplementowali się, zgodnie z temi wierszami, wzajem do siebie, wchodząc do domu, a byli oni namalowani na murze z lewej i z prawej strony. — Wrenka natomiast podarowała

Saliemu serce, na którego jednej stronie nalepiona była karteczka z temi słowami:

Słodziutkie migdałowe w tem sercu jądro tkwi,
Lecz słodsza, niż migdały, miłość piastuję ci!

A na drugiej stronie:

Gdy zjesz już to serduszko, tych nie zapomnij słów:
Wpierw, niżli moja miłość, to oko zgaśnie znów!

Odczytywali z zapalem owe sentencje, i nigdy rzeczy rymowanej i drukowanej nikt nie uznał za piękniejszą i nie odczuł głębiej, niż oni — te porzekadła pierniczkowe, przeczytane słowa brali za ułożone umyślnie o nich, tak stosowne im się zdawały. «Ach», westchnęła Wrenka, «darujesz mi dom! I ja ci tak samo podarowałam dom i właśnie prawdziwy, bo serce nasze to teraz dom nasz, w którym mieszkamy, i to swoje mieszkanie nie-siemy z sobą, niby ślimaki! Innego nie mamy!» «Ale w takim razie jesteście dwoma ślimakami, z których każdy niesie domek drugiego!» rzekł Sali, Wrenka zaś odparła: «Tem mniej przeto wolno nam rozejść się, iżby więc każde z nas było blisko swego mieszkania!» Wszelako nie wiedzieli, że w ich słowach coraz-to pojawiały się koncepty, podobne do umieszczonych na owych różnokształtnych piernikach, i w dalszym ciągu studjowali tę słodką a prostą literaturę miłosną, co tu leżała

rozpostarta i była szczególnie przyklejona do małych i dużych serc, przyozdobionych rozmaicie. Wszystko wydawało im się piękne i niesłychanie trafne, gdy Wrenka na pozłacanem sercu, mającem struny niby lira, przeczytała słowa: Jak cytra jest serduszko me, poruszysz je — dźwiękami drgnie! zrobiło jej się tak muzykalnie na duszy, że zmieniła, iż słyszy dźwięczenie własnego serca. Znalazłeś tu jeszcze figurkę Napoleona, który jednak musiał tak samo być nosicielem zakochanej sentencji, bo u spodu taki miał napis: Wielkie są Napoleona czyny, miecz miał ze stali, a serce z gliny: ma luba nosi kwiatki skromne, lecz serce jej — jak stal niezłomne! — Gdy wszakże oboje niby zagłębieni byli bez pamięci w czytaniu, każde skoryzostało ze sposobności, by ukradkiem dokonać pewnego zakupu. Sali nabył dla Wrenki pozłocisty pierścioneczek z zielonym kamyczkiem szklanym, Wrenka zaś kupiła pierścień z czarnego rogu giemzowego, wyłożony złotą niezapominajką. Prawdopodobnie mieli tę samą myśl: pragnęli dać sobie przy rozstaniu te ubogie znaki miłości.

Pogrążeni w tych rzeczach, tak się zapomnieli, że nie spostrzegli, jak stopniowo utworzył się dookoła nich szeroki krąg ludzi, przyglądających im się uważnie i z zaciekawieniem. Ponieważ bowiem przybyło tutaj wielu chłopców i wiele dziewcząt

z ich wsi rodzinnej, tedy poznano ich, i oto wszyscy ci okalali ich teraz w pewnej odległości, patrząc z podziwem na wystrojoną parkę, która w miłośnym zadumaniu jakby zapomniała o całym wokół świecie. «Patrzcież-no!», odzywał się ten i ów, «toć to naprawdę Wrenka Marti i Sali z miasta! A to się dopiero dowcipnie znaleźli i połączyli! A jaka między nimi miłość i przyjaźń, spójrzcie tylko, spójrzcie! Co też oni zamierzają?» Zdziwienie tych widzów było zgoła osobliwą mieszaniną współczucia dla niedoli, pogardy dla zmarzenia i podłoty ich rodziców, jak i — zazdrości wobec szczęścia i jednomyślności tej pary, która w sposób całkiem niezwykły i niemal dostojny była zakochana i pełna wzruszenia, zarówno zaś w tem bezwzględny oddaniu wzajemnym i zapomnieniu o świecie obcą się zdawała temu ludkowi prostaczemu, jak i w sierocem swem opuszczeniu i ubóstwie. Gdy przeto ocknęli się wreszcie i popatrzyli dokoła, dostrzegli same jeno gapiące się twarze z wszystkich stron, nikt ich nie pozdrowiał, oni zaś nie wiedzieli, czy mają kogo pozdrowić, a ta obcość i nieuprzejmość była obopólnie raczej skutkiem zakłopotania, niż czemś umyślnem. Wrence zrobiło się trwożnie i gorąco, blade i czerwieniła się naprzemian, aż Sali wziął ją za rękę i wyprowadził stamtąd biedaczkę, która ze swym dom-

kiem w dłoni chętnie za nim poszła, chociaż trąby w gospodzie grały wesoło, a Wrence tak bardzo chciało się pohasać. «Tu nie możemy tańczyć!» rzekł Sali, gdy się nieco oddalili, «małobyśmy tutaj mieli uciechy, jak się zdaje!» «Chyba, że tak», odrzekła ze smutkiem Wrenka, «to też będzie najlepiej dać temu całkiem pokój, a ja rozejrzę się, gdziebym jakiś schron mogła znaleźć!» «Nie», zawołał Sali, «będziesz raz przecie tańczyła, potem ci buciki przyniosł! Pójdziemy tam, gdzie się bawią biedacy, do których też ninie należymy — oni nami nie pogardzą, w Rajskim ogródku zwykle odbywają się tańce, jak tutaj jest kiermasz, ponieważ należy on do tej parafji, — tam też teraz pójdziemy, od biedy będziesz tam mogła także prze nocować». Wrenka wzdrygnęła się cała na myśl, że oto po raz pierwszy przyjdzie jej spać w miejscu nieznanem, podążyła jednak bezwolnie za swym przewodnikiem, który był teraz wszystkim, co miała na świecie. Rajski ogródek była to gospoda pięknie położona na samotnem zboczu górskiem, skąd odśtaniał się rozległy widok na okolice; w gospodzie tej jednak w takie dni uciech i zabaw schodził się sam tylko biedny ludek, dzieci całkiem drobnych chłopów i wyrobników, a nawet wszelkiego rodzaju wędrowna hołota. Przed stu laty zbudował sobie to tu, jako małą willę, bogaty

jakiś dziwak, po którym nikt już nie chciał tam mieszkać, a ponieważ plac na nic, zresztą, nie mógł się przydać, tedy dziwaczna ta siedziba wiejska popadła w ruinę, aż wkońcu dostała się w ręce karczmarza, który rządził się tu, jak szara gęś. Wszelako nazwa i odpowiadająca jej struktura tego domu zachowały się dotychczas. Składał się on z samego tylko parteru, nad którym był wybudowany otwarty strych, a dach jego u czterech węglów dźwigały posągi z piaskowca, ponoś wyobrażające czterech archaniołów, lecz już zwiertzałe całkowicie. Na gzymsie dachu siedzieli dookoła mali aniołkowie-muzykanci o dużych głowach i brzuchach, grając na trągule, skrzypcach, flecie, cymbałkach i tamburynie, także z piaskowca, instrumenty zaś pierwotnie były pozłacane. Pułap wewnątrz, równie jak parapet strychu i resztę murów domu, pokrywały zmyte już w znacznym stopniu freski, przedstawiające radosne zastępy aniołów oraz świętych—śpiewających i tańczących. Lecz wszystko było zatarte i niewyraźne jak sen, a pozatem owinięte suto szczepek winnym, sine też, dojrzewające grona wisiały wszędy wśród liści. Dookoła domu stały zapuszczone, zdziczałe kasztany, a sękaty, mocne krzewy różane, żyjąc dalej na własną rękę, rosły tu i owdzie tak dziko, jak gdzieindziej znów krzaki bzu. Strych służył za salę

taneczną, gdy Sali szedł tam z Wrenką, widzieli już zdaleka pod otwartym dachem kręcące się pary, — wkoło zaś domu popijało sobie i hałasowało mnóstwo wesołych gości. Wrenka, niosąca pobożnie i żałośliwie w ręku swój domek miłośny, podobna była do jakiejś świętej kolatorki ze starych obrazów, trzymającej na dłoni model kościoła lub klasztoru, co go ufundowała; lecz z pobożnej fundacji, która Wrence tkwiła w myśli, nic być nie mogło. Słyszając jednak dziką muzykę, rozbrzmiewającą ze strychu, zapomniała o swem cierpieniu i wreszcie niczego już nie pragnęła, tylko potać się z Salim. Przeciskali się poprzez gości, siedzących przed domem oraz w izbie — takich oto na psy zeszytych ludzi z Seldwili, co sobie urządzili tanią wycieczkę, nędzarzy stąd i zowąd —, a wszedłszy po schodach na strych, odrazu zaczęli kręcić się w takt walca, nie odrywając od siebie oczu. Dopiero, gdy walc dobiegł końca, obejrzeni się dokoła, lecz oto, co się stało: domek Wrenki zgniół się i połamał, — i właśnie chciała ona zacząć się martwić z tego powodu, gdy bardziej się jeszcze przeraziła, obaczywszy czarnego grajka, obok którego właśnie stali. Siedział on na ławce, umieszczonej na stole, i wyglądał tak czarno, jak zwykle, tylko że dzisiaj wetknął był sobie za kapeluszyk gałązkę jedliny, u nóg zaś miał fłaszę

wina i szklenicę, których nie przewracał nigdy, chociaż w czasie gężenia nieustannie przebierał nogami, wykonywając w ten sposób rodzaj tańca wśród jaj. Obok niego siedział jeszcze urodziwy, lecz markotny młody człowiek z waltornią, a jakiś garbus stał przy basetli. Sali też się przestraszył, ujrawszy skrzypka, ten wszelako pozdrowił ich jak najuprzejmiej, wołając: «Przecie wiedziałem, że wam kiedyś jeszcze zagram! Dalej = że, pobawcie się wesoło, serdecznie, i spełnijcie do mnie!» Podał Saliemu pełną szklanekę, a Sali pił i spełnił do niego. Widząc, jaki strach ogarnął Wrenkę, skrzypek starał się uprzejmie do niej przemówić i zrobił kilka żartów niemal ujmujących, że aż musiała się zaśmiać. Znowu nabrała otuchy, i oto radzi byli oboje, że mają tu kogoś znajomego i są niejako na szczególnej opiece skrzypka. Tańczyli teraz bez wytchnienia, zapominając o sobie i o świecie całym wśród tego kołowania, śpiewu i wrzasku, który srożył się w samym domu i zewnątrz niego i rozbrzmiewał z góry daleko w okolicę, która nieznacznie otulała się w srebrzystą wonną mgłę jesiennego wieczora. Tańczyli, aż się ściemniać zaczęło, i większa część wesołych gości, chwając się i jodlując przeraźliwie, rozpierzchła się na wszystkie strony. Pozostała tylko jeszcze ta właściwa hołotka, co żyła

sobie bezdomnie i dobry dzień uzupełnić chciała i nocą dobrą. Wśród nich było kilku, którzy się bliżej, widać, znali ze skrzypkiem, a dziwaczny mieli wygląd w swej zepstrokaconej odzieży. Szczególniej rzucał się w oczy młody jakiś chłopak w zielonej kurtce manszestrowej i zmiętym słomianym kapeluszu, który = to on opasał był wieńcem, splecionym z pęczków jarzębiny, czy jak je tam zwą — jagód ptaszniczych. Ten miał przy sobie niesamowitą jakąś osobę w sukni z kartunu czerwono = wiśniowego w białe groszki, a z obręczą winnych łatorośli wokoło głowy, związanych tak, iż nad każdą skronią wisiało jedno sine grono. Ta para prześcigała wszystkich w rozpasaaniu, tańczyła i śpiewała niezmordowanie, a wszędzie jej było pełno. Pozatem została też smukła, ładniutka dziewczyna w sukni z czarnego jedwabiu, już wypłowiałej, głowę jej kryła biała chustka, której czub na plecy jej opadał. Na chustce tej widniały czerwone, wetkane w nią, prążki, a był to lepszy płócienny ręcznik lub serweta. Z pod onej zaś błyszczało dwoje fiołkowo = niebieskich oczu. Wokół szyi i na piersiach jej wisiał sześciokroć wiązany łańcuch nanizanych na nitkę jagódek jarzębinowych i zastępował najcudniejszy sznur koralu. Postać ta nieustannie tańczyła sama z sobą, uparcie odmawiając tańczenia z kimkolwiek

z kompanów. Niemniej jednak poruszała się do-
koła powabnie i lekko, uśmiechając się za każdym
razem, ilekroć ona, kręcąc się, mijała smutnego
waltornistę, na co ten zawsze głowę odwracał.
Nie brakło innych jeszcze wesołych kobietek ze
stosownymi opiekunami — wszyscy mieli wygląd
mizerny, ale tem-ci byli weselsi i w najlepszej
z sobą zgodzie. Gdy zupełna już zapanowała
ciemność, gospodarz nie chciał zapalić świateł,
utrzymując, że zgasi je wiatr i że — wnet zacnie
wschodzie pełnia księżycyca, a za to, co ci państwo
dają zarobić, w zupełności wystarczy światło księ-
życowe. Oznajmienie to przyjęto z wielkiem za-
dowoleniem; całe towarzystwo stanęło u poręczy
tej przewiewnej sali, wyglądając wschodu onego
ciała niebieskiego, które czerwienią swą zabarwia-
ło już widnokrąg; skoro zaś księżyc wypłynął
i, wzniosłszy się, rzucił promienie wpoprzek stry-
chu ogródeczka Rajskiego, tańczono dalej przy
światle miesiąca, a przytem tak cicho, obyczajnie
i w takiej pogodzie ducha, jakżeby płasali w bla-
sku setek świec woskowych. Osobliwe to światło
zbliżyło wszystkich i spoufaliło, a tak więc Sali
i Wrenka musieli, radzi nieradzi, przyłączyć się
do wspólnej uciechy i tańczyć wraz z innymi.
Za każdym jednak razem, jak ich na chwilę
rozdzielono, co rychlej znów się zlatywali, wi-

tając się tak solennie, jakby po całych latach
szukania wkońcu się znaleźli. Sali wyglądał smut-
nie i kwaśno, ilekroć tańczył z inną, i nieustannie
zwracał twarz ku Wrence, która nie patrzyła nań,
unosząc się mimo, a płonęła niczem róża purpu-
rowa i, zdało się, była nad miarę szczęśliwa,
z kimkolwiek tańcząc. «Jesteś zazdrosny, Sali?»
spytała go, gdy muzykanci, zmęczeni, grać prze-
stali. «Niech Bóg broni!» odrzekł, «nie umiałbym
doprawdy stać się zazdrosnym!» «Czemuż więc
jesteś zły, gdy tańczę z innym?» «Zły jestem nie
dlatego, jeno — że muszę tańczyć z innemi! Nie
mogę znieść żadnej innej dziewczyny, mam wra-
żenie, że trzymam w ramionach kawał drewna, jeśli
to nie ty jesteś! A ty? A z tobą jak się dzieje?» «Ach,
ja zawsze jestem jak w niebie, gdy tylko tańczę
i wiem, żeś ty tutaj obecny! Ale zdaje mi się,
że natychmiast padłabym trupem, gdybyś odszedł,
a mnie tu zostawił!» Zeszli nadół i stanęli przed
domem; Wrenka opasała go obojgiem ramion,
przytuliła do niego smukłe swoje, drżące ciało,
przycisnęła lica swe płożące, mokre od gorących
łez, do jego twarzy i rzekła ze łkaniem: «Nie
możemy być razem, a przecież nie mogę rozstać
się z tobą już ani na chwilę, ani na sekundę!»
Sali objął dziewczkę i uściśnawszy ją namiętnie,
okrywał pocałunkami. Zmącone myśli jego bory-

kały się, szukając wyjścia, lecz go nijak nie mógł znaleźć. Gdyby się nawet dało przemóc nędzę i beznadziejny stan jego rodu, toć wiek młody i ta namiętność niedoświadczona nie nadawały się do tego, by mógł wziąć przed się i przetrwać długi okres próby i wyrzeczenia się, a potem jeszcze — tamto z ojcem Wrenki, którego unieszczęśliwił na całe życie. Poczucie ono, że w ramach życia społecznego można zażyć szczęścia tylko w małżeństwie całkiem uczciwym i wolnym od wyrzutów sumienia, poczucie takie było jednak żywe w nim, jak i we Wrence, i w obu tych opuszczonych istotach stanowiło to ostatni płomień honoru, co był w czasach minionych płynął w ich domach, a który bezpieczni ich, o pewnym bycie, ojcowie przez niepozorne takie uchybienie zadmuchnęli i unicestwili, gdy w urojeniu, że właśnie honoru tego sobie przysporzą przez powiększenie majątku, tak bezmyślnie przywłaszczyli mienie owego zaginionego, na nic się nie narażając, jak mniemali. Rzeczy takie dzieją się co dzień, wszelako czasem los wymierza kary dla przykładu i daje frantowi trafić na franta, daje więc zetknąć się z sobą dwom takim przysporzycielom honoru domowego i mienia, a wtedy oni nieochybnie ścierają się i pozerają, jak para dzikich zwierząt. Albowiem pomnożyście dóbr ziem-

skich prerachowują się nie tylko na tronach, lecz niekiedy również i w najniższych chatach, i dobiegają do wręcz przeciwnego końca, niż pragnęły, a tarcza honoru jest, nim się spostrzegą, tablicą hańby. Lecz Sali i Wrenka widzieli jeszcze honor swych domów w wątych, czułych latach dzieciństwa i pamiętali, jak troskliwie pielęgnowani byli dzieciątkami i że ojcowie wyglądali jak inni mężowie, mieli szacunek ludzki i byt pewny. Później rozłączono ich dwoje na długo, a gdy znaleźli się znowu, widzieli w sobie zarazem zniknione szczęście domowe, i skłonność obojga jeno tem gwałtowniej wzajem się ich uchwyciła. Jakże pragnęli być weseli i szczęśliwi, ale tylko na dobrym gruncie, ten zaś wydawał się im nie do osiągnięcia, gdy tymczasem kipiąca ich krew najchętniejby już teraz spłynąć się była gotowa. «Oto już noc», zawołała Wrenka, «musimy się rozstać!» «Miałbym więc pójść do domu i ciebie samą zostawić?» zawołał Sali, «nie, tego nie zdołam!» «Tedy nastanie dzień, a z nami nie będzie lepiej!»

«Dam wam dobrą radę, głuptaszk!» zabrzmiał ztytu szorstki jakiś głos, i skrzypek przystąpił do nich. «Oto stoicie tu», rzekł, «i nie wiecie, co począć, a chcielibyście się mieć. Radzę wam, bierzcie siebie tak, jak jesteście, nie zwlekając. Pójdźcie ze mną i moimi przyjaciółmi w góry — tam

wam nie potrzeba ani księdza, ani pieniędzy, ani papierów, ani honoru, ani łożka, wystarczy sama dobra wola! A wcale tam u nas nieźle: powietrze zdrowe, a jedzenia ma dość, kto się nie leni, lasy zielone to nasz dom, gdzie się kochamy, jak nam się podoba, a zimą sporządzamy sobie najcieplejsze kryjówki lub włazimy chłopom w ciepłe siano. Więc krótko i węzłowato: zaraz tutaj wyprawcie sobie wesele i ruszajcie z nami, wtedyście wolni od wszelkich kłopotów, a macie siebie na zawsze i na wieki wieków — przynajmniej, póki wam się będzie podobało; bo przy naszym życiu na swobodzie sędziwych doczekacie lat — ręczę wam za to! Nie myślcie aby, że chcę wam odpłacić za to, co mi zrobili wasi starzy! O, nie! coprawda zadowolony=am, widząc, żeście tak oto zeszli na dziady, ale mam dość na tem, a teraz pomogę wam i usłużę, jak pójdziecie za mną». Istotnie, mówił to tonem szczerym i jakimś serdecznym. «No więc, namyślcie się krzyżę, a posłuchajcie mnie, kiedy wam dobrze radzę! Do licha rzućcie cały świat, weźcie się i nikogo o nic nie pytajcie! Pomyślcie o uciesznem łożu weselnem w głębi lasu lub na stogu siana, jeśli wam będzie za chłodno!» Po tych słowach wszedł do domu. Wrenka drżała w objęciach Saliego, a ten przemówił: «I co ty na to? Mnie się widzi, że

może wartoby żywnie nic nie robić sobie ze świata całego, a zato kochać się bez przeszkód i bez granic!» Powiedział to jednak raczej jako żart z desperacji, niżeli serjo. Natomiast Wrenka całkiem prostodusznie odrzekła, całując go: «Nie, tam nie chciałabym pójść, bo tam również nie dzieje się tak, jak ja to rozumiem. Ów młody waltornista i dziewczyna w jedwabnej sukni właśnie tak do siebie należą, a podobno bardzo się kiedyś kochali. Lecz w ubiegłym tygodniu osoba ta po raz pierwszy była mu niewierna, z czem on nie może się pogodzić, i dlatego jest taki smutny i dąsa się na nią i na tych tam, którzy go wyśmiewają. Ona zaś odbywa swawolną pokutę, tańcząc sama jedna i z nikim nie rozmawiając, przez co też tylko wyśmiewa się z niego. Ale biednemu muzykantowi patrzy z oczu, że się dziś jeszcze z nią przeprosi. Gdzie jednak takie dzieją się rzeczy, tam nie chciałabym być, bobym nie chciała nigdy stać ci się niewierną, choć poza tem wszystkobyłm zniosła, by ciebie posiadać!» Tymczasem przecie żądza coraz silniejsza trawiła biedną Wrenkę na piersi Saliego, bo już od obiadu, kiedy to owa gospodyni wzięła ją za narzeczoną, a ona bez oporu przybrała taką rolę, narzeczeństwo to płonęło jej we krwi, a im bardziej bezna dziejne, tem było zapamiętalesze i nie do okiełzania.

Z Salim działa się również źle, gdyż słowa skrzypka, choć do spełnienia ich nie był skory, mimo to wywołały zamęt w jego głowie, i rzekł oto głosem zdławionym, zacinając się: «Wejdźcie do środka, musimy przynajmniej coś jeszcze zjeść i wypić». Przeszli do izby gościnnej, gdzie nie było nikogo, prócz małego grona owych bezdomnych, którzy już obsiedli stół dokoła i szczerło sobie ucztowali. «Otóż i nasza ślubna para!» zawołał skrzypek, «bądźcie weseli i pełni animuszu i każcie sobie razem podać!» Zmuszono ich, by usiedli za stołem, — a chroniąc się tam, każde z nich jakby uciekło przed samem sobą, byli radzi, że choćby na chwilę są między ludźmi. Sali zamówił wino i jakieś sutsze potrawy, i zaczęła się tam wielka uciecha i zabawa. Ów zadąsany pojednał się z niewierną, i para ta pieściła się pożądliwie i pełna błogości, druga zaś dzika para śpiewała, pijąc na potęgę, i tak samo nie szczędziła sobie objawów rozkochania, — skrzypek zaś wraz z garbatym basistą na własną rękę hałasili wniebogłosy. Sali i Wrenka siedzieli cicho, objawszy się wpół, naraz skrzypek nakazał obecnym spokój i dokończył jakiejś żartobliwej ceremonji, która miała oznaczać zaślubiny. Musieli podać sobie ręce, całe zaś towarzystwo powstało z miejsc, podchodząc do nich pokolei, aby złożyć im powinszowania

i przywitać oto już pobratanych. Pozwalali na wszystko bez słowa sprzeciwu, uważając to za żart płochy, a przecież zimny dreszcz naprzemian z żarem przejmował ich nawskroś.

Małe to zebranie stawało się coraz głośniejsze i bardziej podniecone pod wpływem mocniejszego wina, aż nagle skrzypek przypomniał, że czas im w drogę. «Mamy spory kawał», wołał, «a już po północy! Nuże, wstawać! Pójdziemy w orszaku młodej pary, a ja przodem rypnę na skrzypcach, że aż miło!» Ponieważ biedactwom tym, bezradnym, opuszczonym, nie nasuwało się nic lepszego i będąc wogóle całkiem oszołomieni, znowu ulegli i dali się postawić na czele, dwie zaś pozostałe pary utworzyły ztyłu za nimi pochód, który zamykał garbus z basetlą na plecach. Czarny przodem pędził z góry i rznął na skrzypkach jak opętany, a tamci śmiali się i śpiewali, skacząc za nim. Tak przewijał się ten wściekły pochód nocny przez ciche pola i przez wieś rodzinną Sali i Wrenki, kędy wszyscy mieszkańcy dawno już w śnie byli pogrążeni.

Gdy idąc cichemi uliczkami, mijali utracone domostwa ojców, opanował ich szaf jakiś bolesny i dziki: za przewodem skrzypka płasali z innymi o lepsze, całowali, śmiali się i płakali. Tańcząc, dostali się na pagórek, przez który

prował ich skrzypek tam, gdzie ciągnęły się owe trzy łany, a na wierzchołku kruczy ten jego-mość ze zdwojoną jeszcze dzikością ciął smykem po skrzypcach, skakał i podrygiwał jak upiór, a jego towarzysze nie ustępowali mu w rozpasaniu, tak iż istna Łysa góra zrobiła się na tej cichej wyżynie, nawet garbus z ciężarem na plecach skakał tam i sam zziązany, a zdało się, że nikt z nich drugiego nie widzi. Sali opasał Wrenkę mocniej ramieniem, aż musiała przystanąć: — bo on pierwszy się opamiętał. Gorąco pocałował ją w usta, by umilkła, gdyż w zupełnym zapamiętaniu śpiewała na cały głos. Wkońcu go zrozumiała, i stali trochę, nasłuchując, póki ten ich rozhuwany orszak ślubny poharcował wzdłuż pola i, nie zauważywszy ich ubytku, rozproszył się tam pod górę — na brzegu strumienia. Skrzypce, śmiech dziewcząt i radosne okrzyki chłopców dość długo jeszcze było słyszeć w mroku nocy, aż wkońcu wszystko przebrzmiało i zapanowała cisza.

«Przed tymi uciekliśmy», rzekł Sali, «ale jak sami przed sobą uciekniemy? Jak zdołamy siebie uniknąć?»

Wrenka niezdolna była odpowiedzieć i, oddychając ciężko, zawisła na szyi Salięgo. «Może najlepiej — zaprowadzę cię napowrót do wsi i obudzę ludzi, żeby cię przyjęli na noc? Jutro mo-

żesz przecie ruszyć w swoją drogę, a z pewnością będzie ci dobrze, wszędzie urządzisz się jakoś!»

«Urządzą się, bez ciebie?!»

«O mnie musisz zapomnieć!»

«To się nigdy nie stanie! A czy tybys to potrafił?»

«O tem teraz nie mówimy, ty serce moje!» rzekł Sali i głaskał jej rozpalone lica za każdym razem, gdy ona je namiętnie po piersi jego motała tu i tam, «chodzi tylko o ciebie, jeszcześ tak zupełnie młoda i na wszelkich drogach życia może ci jeszcze być dobrze!»

«A czy nie tak samo i tobie, ty stary mężu?»

«Chodź!» rzekł Sali i pociągnął ją z sobą. Lecz uszli jeno kilka kroków i znów przystanęli, aby wygodniej obejmować się i obsypywać pieśczętami. Cisza świata śpiewała im i grała skroś dusze, słyszeć było tylko tam wdole, jak rzeka lekko i mile szemrała w powolnym swym biegu.

«Jakże tu pięknie wokoło! Nie słyszysz? — coś tak dźwięczy, jakby piękny śpiew i jakoweś dzwonienie!»

«To woda tak szumi! Pozatem cicho zupełnie».

«Nie, to jeszcze coś innego, tutaj, tam het, wszędzie to tak brzmi!»

«Mniemam, że słyszymy, jak własna nasza krew szumi nam w uszach!»

Wsluchiwali się chwilę w te tony urojone czy rzeczywiste, pochodzące z wielkiej ciszy, lub które oni wikkali z magicznem działaniem poświaty księżycowej, co snuła się blisko i w dali po białych mgłach jesiennych, ścielących się głęboko w dolinie. Nagle Wrence coś przyszło na myśl, poszukała za staniczkim i rzekła: «Kupiłam ci jeszcze pamiątkę, którą chciałam ci dać!» I podała mu prosty pierścionek, przyczem sama mu go wetknęła na palec. Sali również dobył swego pierścioneczka i włożył go na palec Wrenki, mówiąc: «Tak więc mieliśmy te same myśli!» Wrenka potrzymała dłoń w bładem świetle srebrnego miesiąca i oglądała pierścionek. «Jakież to śliczny pierścionek!» rzekła ze śmiechem, «no, ale teraz jesteśmy przecież zaręczeni i po słowie, tyś moim mężem, a ja twoją żoną, pomyślny to sobie przez chwilę, tylko póki tamten skrawek mgły nie zejdzie z księżycy, albo aż policzymy do dwunastu! Pocałuj mnie dwanaście razy!»

Sali z pewnością kochał równie silnie jak Wrenka, lecz sprawa małżeństwa nie była w nim mimo to tak namiętnie żywa — jako stanowcze «albo — albo», jako bezpośrednie «być albo nie być» — jak właśnie w sercu Wrenki, która to jedno tylko czuć była zdolna i w bezwzględny porywie wiedziała w tem wprost śmierć albo życie. Ale te-

raz nakoniec przejrzał i zrozumiał, a uczucie kobiece młodej dziewczyny z miejsca obudziło w nim dzikie, gorejące pożądanie, i jakaś płomienna jasność rozwidniła mu zmysły. Jakkolwiek gorąco już dotąd obejmował Wrenkę i pieścił, przecież teraz czynił to zgoła inaczej i bardziej burzliwie i obsypywał ją pocałunkami. Choć miotana własną namiętnością, Wrenka natychmiast odczuła tę zmianę, i silne drzenie przebiegło po całej jej istocie, lecz zanim ów skrawek mgły ześliznął się z księżycy, również i ona zmianie tej porwać się dała. Wśród gwałtownego głaskania się i szamotania spotkały się ich ręce, zdobne w pierścionki, i mocno się uchwyciły, jakby same dopełniając zaślubin, bez nakazu woli. Serce Saliego to waliło młotem, to znów przystawało, oddychał ciężko i mówił zcicha: «Jedno nam pozostaje, Wrenko, odbędziemy zaraz, w tej godzinie, gdy małżeńskie, a potem zejdziemy ze świata — woda tam jest głęboka — tam nikt już nas nie rozdzieli, a byliśmy razem — krótko czy długo, to nam wtedy wszystko jedno».

Wrenka odrzekła natychmiast: «Sali — to, co tu mówisz, już dawno sobie myślałam i ułożyłam, mianowicie, że moglibyśmy przecie umrzeć, a wtedy byłoby po wszystkim — więc przysięgnij mi, że zrobisz to ze mną!»

«To tak, jakby się już stało, z rąk mych nie zabierze cię już nikt, prócz śmierci!» zawołał Sali, odchodząc od siebie. Lecz Wrenka odetchnęła głęboko, łzy radości trysnęły jej z oczu, zerwała się, skacząc lekko jak ptaszek przez pole, wdół ku rzece. Sali pośpieszył za nią, sądził bowiem, że chce mu uciec, a Wrenka myślała, że on pragnie ją zatrzymać, i tak gonili się wzajem, a Wrenka śmiała się jak dziecko, które nie chce się dać złapać. «Żal ci już?» wołało jedno do drugiego, gdy dostali się nad rzekę i przypadli do siebie; «Nie, cieszy mnie to coraz bardziej!» odpowiadało każde. Zbywszy się wszelkich trosk, szli brzegiem ku dołowi rzeki i prześcigali wartkie fale, tak skwapliwie szukali miejsca, gdzieby spocząć mogli, bo namiętność ich nie widziała teraz nic prócz upojenia błogości, które im dać miało połączenie, i cała wartość i treść reszty życia w tem się skupiła, co przyjdzie potem, śmierć i zatracenie, było dla nich tchem, niczem zgoła, i mniej o tem myśleli, aniżeli lekkoduch, przejadając ostatni dobytek, zastanawia się nad tem, jak przeżyje dzień jutrzejszy.

«Moje kwiaty wyprzedzają mnie», zawołała Wrenka, «spójrz, już po nich, całkiem mi zwiędły!» Zdjęła je z piersi i wrzuciła do wody, głośno przystem śpiewając: «Lecz słodsza, niż migdały, miłość piastuję ci!»

«Poczekaj!» zawołał Sali, «oto twoja ślubna łóżnica!»

Dotarli do jezdnej drogi, która ze wsi prowadziła ku rzece, tu zaś była przystań, gdzie stała przywiązana wielka łódź z wysokim ładunkiem siana. W jakimś dzikim humorze począł Sali niezwłocznie rozwiązywać mocne liny, gdy Wrenka ze śmiechem ujęła go za ramię, wołając: «Co to chcesz zrobić? Czy naostatek ukradniemy chłopom łódź z sianem?» «To ma być posag, który dostajemy od nich: pływające łóżko i pościel, jakich nie miała jeszcze żadna narzeczona! Zresztą, własność swoją odnajdą tam na dole, dokąd przecież popłynie, i nawet nie będą wiedzieli, co to się tu stało. Patrz, już chwije się i chce ruszyć w drogę!»

Łódź stała w odległości kilku kroków od brzegu na głębszej wodzie. Sali podniósł Wrenkę na ramionach wysoko i brodził przez wodę ku barce, lecz ona pieściła go tak gwałtownie i niesforne, trzepocząc się jak rybka, że Sali nie mógł utrzymać się w rwącej wodzie. Usiłowała twarz i ręce zanurzyć w wodzie i wołała: «Chcę też spróbować tej zimnej wody! A pamiętasz jeszcze, jak zimne i mokre były nasze ręce, kiedyśmy je sobie podali po raz pierwszy? Ryby łowiliśmy wtedy, a teraz z nas samych będą ryby, i to dwie

piękne i duże!» «Uspokój się, djabełku kochany!» rzekł Sali, który z trudem zachować mógł równowagę między rozłobuzowaną kochaneczką a falami wzburzonymi, «bo jeszcze mnie woda porwie!» Uniósł swój ciężar i złożył na łodzi, a potem sam wskoczył, podniósł go na uścielone wysoko siano, miękkie i wonne, i sam też na wierzch smyrgnął, a gdy już siedzieli na górze, łódź stopniowo wydostała się na środek rzeki, zaczem, obracając się zwolna, popłynęła nurtem dalej.

Rzeka ciągnęła się wzdłuż wysokich ciemnych lasów, które ją ocieniały, bądź przez otwartą równinę, obok cichych wiosek, to znów koło luźnych chat, tu popadała w taką ciszę, że podobna była do spokojnego jeziora i czółno prawie że przystawało, ówdzie kłębiła się wokół skał, szybko zostawiając za sobą uśpione brzegi, a gdy zabłyśły promienie jutrzeńki, równocześnie wynurzyło się z szaro-srebrzystego strumienia miasto jakieś ze swemi wieżami. Zachodzący księżyc, czerwony jak złoto, rozciągnął szlak jaśniejący wzdłuż górnego biegu strumienia, po nim zaś wpoprzek łódź zwolna się posuwała. A gdy już bliska była miasta, dwie blade postaci, w mocnem uściśnieniu, ześliznęły się w mroźny ranek jesienny z ciemnej owej masy w chłodne tonie rzeki.

Niebawem łódź podpłynęła bez szkody do jakiegoś mostu i tam się zatrzymała. Kiedy później znaleziono poniżej miasta zwłoki owe, tudzież wykryto właściwe ich pochodzenie, można było czytać w gazetach, jako to dwoje młodych ludzi, dzieci dwóch ubożuchnych, całkiem podupadłych rodzin, które żyły w nieprzejednanej nienawiści, rozmyślnie znalazło śmierć w wodzie, spędziwszy z sobą całe popołudnie na ochoczym tańcu i zabawie podczas kiermaszu. Dalej pisano, że przypuszczalnie zdarzenie to pozostaje w jakowejś łączności z łodzią siana z owych okolic, która w mieście przybiła do lądu bez żadnych łódkarzy, — i domniemywać się można, że owi młodzi ludzie skradli tę łódź, ażeby odbyć na niej swoje desperackie i na Boga niepamiętne gody miłosne, a jest to jeszcze jeden znak zepsucia moralnego, zataczającego coraz szersze kręgi, i zdziczenia namiętności.

Gotfryd Keller, piszący po niemiecku poeta i prozaik szwajcarski, ur. się w Zurychu 19 lipca r. 1819, zmarł tamże 15 lipca r. 1890. – ROMEO I JULJA NA WSI jest drugim z rzędu opowiadaniem z cyklu (obejmującego pierwotnie pięć, następnie – dziesięć utworów nowelistycznych), który ukazał się po raz pierwszy w r. 1856 pod nagłówkiem „Ludzie z Seldwili” (Die Leute von Seldwyla); utwór niniejszy był również, poczynając od r. 1876, wielokrotnie wydawany oddzielnie w formie miniaturowym. – Z rzeczy, składających się na całość „Ludzi z Seldwili”, wyszły dotąd, jako osobne książeczki, w przekładzie tych samych tłumaczy, następujące: „Pankracy Dąsacz” (ze wstępem ogólnym autora), „Trzej sprawiedliwi grzebieńiarze” i „Kotek Lusterko”; „Romeo i Julję na wsi” w tłumaczeniu Stanisława Rossowskiego drukowała w r. 1914 „Skarbnica polska”.

Red. «Książek Ignisa»

K S I A ̇ Ż K I I G N I S A

- Nr 1. ADAM MICKIEWICZ
Tom pierwszy poezyj 1822
- Nr 2. CYPRJAN KAMIL NORWID
Autoportret
- Nr 3. A. VILLIERS DE L'ISLE-ADAM
Akedysseril
- Nr 4. ROBERT LUDWIK STEVENSON
Klub samobójców
- Nr 5. ADOLF DYGASIŃSKI
Łabędzia woda
- Nr 6. *Żywot Łazika z Tormesu*
- Nr 7. GOTFRYD KELLER
Romeo i Julja na wsi

W DRUKU:

- Nr 8. CHARLES BAUDELAIRE
Moje serce obnażone
- Nr 9. JENS PETER JACOBSEN
Mogens
- Nr 10. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Ucieczka do Bagdadu
- Nr 11. STANISŁAW WITKIEWICZ
Myśli
- Nr 12. CHARLES-LOUIS PHILIPPE
Dobra Magdusia i Biedna Marynia
- Nr 13. TEODOR DOSTOJEWSKIJ
Wieczny małżonek
- Nr 14. JERZY MEREDITH
Historja generała Opple i lady Camper
- Nr 15. GIOVANNI BOCCACCIO
Fiametta



68339